Należytość pocztową opłacono ryczałtem

NOWE CZASY

cena 25 gr.
nr 9 (42)
15. V. 1936
LWÓW

Spuścizna

Rocznica *pierwsza* zgonu Józefa Piłsudskiego, to nietylko okazja powtórzenia kultu i wypowiedzenia wielu wzniosłych myśli.

Ta chwila bodaj przedewszystkiem każe z wyjątkowo bezwzględną szczerością odsłonić prawdy życia polskiego, którego rzeźbiarz martwo splecione dłonie od roku kryje w sarkofagu wawelskim.

Łatwo powiedzieć: o ileż jest gorzej i ciemniej, aniżeli było przed rokiem... Ależ, gdybyśmy tysiąc razy dziennie powtarzali sobie że legenda jest żywa, że siła fatalna wielkości działa — nie zmienimy faktu, że od roku Piłsudski już nie kształtuje realnego życia państwowego Polski. Inaczej więc być musi. I niepokój, który to „inaczej" budzi, nie byłby *istotnie* ważny, gdyby wskazywał *tylko* spiętrzone od roku trudności materjalne; gdyby odsłaniał *tylko* chaos ideowy i rysy organizacyjne w środowisku, określanem potocznie jako „obóz Marszałka Piłsudskiego". To „inaczej" można było przewidywać, można się go było spodziewać.

„Inaczej" po roku stawać się może rzeczywiście groźnem, gdyby podważyć miało same podstawy dzieła Piłsudskiego.

A to dzieło — to nietylko motyw siły, który Piłsudski do życia nowej Rzeczypospolitej wprowadził. Rdzeń dzieła Piłsudskiego, to stworzenie przezeń realnych warunków, w których tworzyć się może i powinna nowa, własna, polska i nowoczesna cywilizacja narodu w odrodzonem Państwie, wolna od śmiertelnych grzechów przeszłości historycznej, ale i nie zapożyczona od obczyzny. Polska wywalczywszy wolność, ma ją wyzyskać w pełni, *aby stać się indywidualnością, jednostką kulturalną w zespole narodów.* Jej myśl narodowa i społeczna, jej nacjonalizm i socjalizm, ma być polski z ducha i formy, nie ma być kopją, na której wyryty jest stempel obcej kultury. Tylko wtedy bowiem władna będzie oprzeć się zwycięsko wichrom i burzom, na jakie *zawsze* skazane będzie polskie geopolityczne rozdroże.

Gdy dziś zatem rozlega się jeremjada: „gorzej", „inaczej" — czy obejmuje rozżaloną troską *tę właśnie najistotniejszą* spuściznę Piłsudskiego?

Wątpić o tem wolno. Nigdy bowiem silniej, jak w tym roku właśnie, gdy zabrakło hamulca i tworzywa zarazem w żywej indywidualności Piłsudskiego, nie atakował umysłowości i uczuciowości polskiej obcy typ i mit cywilizacyjny wschodniego i zachodniego sąsiada. I nigdy bodaj bardziej chłonną i podatną nie była psychika polska na mechaniczną recepcję obcej idei cywilizacyjnej. Coraz burzliwiej reklamujący się na ulicy radykalny „nacjonalizm" i niemniej ostentacyjny lewy „socjalizm" — to rasowe produkty i kolonje porewolucyjnej cywilizacji niemieckiej i rosyjskiej, po za etniczną nomenklaturą niczem się od nich nieróżniące. Umiarkowane zaś, mieszczańskie postacie tych „izmów", najchętniej odwróciłyby bieg dziejów, aby okopać się z powrotem w nieodżałowanej nigdy twierdzy ustroju liberalnie demokratycznego i klasycznie kapitalistycznego.

Temu najazdowi psychicznemu obcej idei cywilizacyjnej przeciwstawia się tylko słabo polski mit cywilizacyjny, dla którego rozwoju warunki tworzył Piłsudski. Ta twórczość została przerwana. Tę przerwę wypełniają konieczne, małe troski niewielkiego narodu. Na czole Państwa nie świeci słońce własnej idei, egzaltującej i organizującej społecznie naród polski. Z ust Państwa ciągle jeszcze nie pada wyzwalające słowo, które bierną energję przemieni w ruch i żywioł. Im później to słońce się zapali, im dłużej na słowo wyzwalające czekać będą miljony Polaków — tem drapieżniejszym stawać się będzie konflikt dwu imperjalistycznych idei obcych, w którym spalać się będzie twórczy potencjał własnej polskiej cywilizacji, przekazany w spuściźnie przez Józefa Piłsudskiego.

Stefan Luty.

MISSA FUNEBRIS (FRAGMENT)

Nie nazywam imienia człowieczym wyrazem
Codzień sto warg to imię targało sto razy,
Sto rąk je wycierało z innemi pospołu,
Aż strawione, jak Chrystus w przedsionku kościołów,
Nagie, jak Bóg na krzyżu — straciło płeć własną
I było jak płomyki, co na wietrze gasną...
I mgłami przez wikliny niebiesko narasta.
Z głębi pól zawieszony na wstążkach świtania
Wzbił się ciew, wyśpiew mocny, w gwarach i ćwierka=
Z nim codzień nad zastygłe nocą oraniny [niach.
Skowronki przedświt drążąc w pierwszym blasku giną.
Kiedyś pod pieśni ptaszej drgającym zawojem



Kto mogąc wybrać, wybrał zamiast domu
Gniazdo na skałach orła: niechaj umie
Spać, gdy źrenice czerwone od gromu
I słychać jęk szatanów w sosen szumie.
Tak żyłem. **SŁOWACKI (Beniowski)**

(Napis na płycie granitowej, kryjącej serce Marszałka)

Lecz wiatr kaganiec zgasi, z iskry stos rozpala
Z żaru żużel oderwie i popiół postrąca
Gliwo siłą obudzi dotąd w głębi śpiące,
Rozpryska a roztrzeszczy, do ognia rozzłości
Wargi chmur łuną skrwawi i wydrze ciemności...
— — — — — — — — — — — — — —
Nie widzę Go... już spłynął do królewskich trupów
Poruczony Katedrze w srebrzystej oprawie.
Wiekom święcony, żądnym ofiary i łupu
W twarzach zakutych śmiercią, zwróconych ku sławie. .

Nie odgadnę, co prochom powiedzą potomni
Patrząc w zaporę szklaną smutku oczu naszych,
Czy ten obraz, co w moich źrenicach się mieścił
Oderwie się od trumny do nich, tak jak domnie?

Wstrząśnie? Podeprze życie jak filar gotycki
Jadalnicy odświętnej, gdzie krew Chrystusowa
Błyska z nad dna kielicha płomieniem pąsowym?
Czy ogrzeje myśl nową strofy poetyckiej?
— — — — — — — — — — — — — —
Po dniu przyszła noc ciemna, w dobach śmierci—szósta
Po niej ranek, jak codzień, w słońcu zmoczył usta.
Zapłakał w chłodzie rosy sen jękiem jastrzębim,
Blask otarł szare kurze po gałęziach wierzbin.
Stal rzeki na zastygłe wplątana ogrody
Dogania morelowo zawstydzone wschody
I rozkwita w zakrętach pączkiem marmurowym.
Na strych stary wróciły postrzępione sowy.
Powietrze niesie ze wsi woń świeżego ciasta
Wychodził Pan Piłsudski na swe pierwsze boje...
— — — — — — — — — — — — — —
Patrzę jak Polska w milach zielonych się ściele
Jak drżą przestrzenie chłonne błękitnemi słowy
Gdy przez labirynt lasów w bramy chmur różowych
Wbiega złocona krawędź roli ścieżką polną...
Światło płonie na stogach: Wolność... wolność... wol=
Tylko konie rozpuścić po drogach pragnienia [ność!
Wiatr chwytać, niecierpliwą krew w modlitwy zmieniać
By naprężyły usta na łuki dzwoniące.
Odżegnać się przeszłości czyhającej w cieniach
Dom ubrać w gęste róże i winograd lśniący,
A własną krwią z pod serca na bierwionach progów
Wypalić święte znaki trzy — święcone Bogu.
Gdy Twa dobroć nad ziemią, cisza Twa nad światem
Quid dicam Deus Meus de Ta largitate?
Przebacz, że dziś idziemy przez Polskę naprzełaj
Smutni mimo łask Twego słonecznego dzieła.
Noc sumienia nadeszła z pod zagwiezdnych gmachów.
Poszliśmy starą drogą ze Wschodu na Zachód
W modlitwie szabel nagich i krwawych pochodni.
Wieki leżą przed nami, ślad wieków za nami.
Słuchając twardej woli z mazowieckich piachów
Poszliśmy wielką drogą pokoleń na Zachód
Dziś wędrowców wiatr targa i ciemność przestrasza
Zgruchotany drogowskaz — ciemna droga nasza...
Ktoż podejmie buławy opuszczone dzieło?
Perturbata sunt ossa nostra Deus Meus!...

MIECZYSŁAW LISIEWICZ

Losy dziedzictwa

Umarł. „Oddzielił się od nas jak ścianą — zamkniętemi na zawsze oczyma". Najpiękniejszym testamentem rozdał hojnie swe ciało Polsce. Pozostawił dziedzictwo ducha i czynu, słowa i realizacji na ziemi. Ale zabrakło żywego człowieka.

* * *

Przeszło osiemdziesiąt lat temu konał zdala od Polski na pielgrzymstwie Mickiewicz. W godzinę śmierci wyrzekł słowa: „Powiedz moim dzieciom, niech się kochają zawsze!" A gdy zamknął oczy, zrazu śmierć jego piorunem się stała dla wszystkich. Ale potem przyszło „otrzeźwienie". Przyszedł czas otwarcia testamentu, gdy właśnie zabrakło żywego człowieka. A to rzecz inna, niż gdyby ten człowiek żył i sam sobą był miarą żywą swych słów i pomysłów, „które dościgał włóczniami".

Dziedzictwo jego uległo prawom losu każdego dziedzictwa wielkości. Stało się udziałem wszystkich, dobrem pospólnem, **rzecząpospolitą.** Jakżeż jednak tego nadużywano! Wykrawano z całości to, co **wygodne** dla małości ludzkiej, co może stać się zasłoną jej powszedniości. Oddzielano **strefy** w całości i część brano za całość. Cisi, mali, szarzy ludzie przytraczali do swych tłumoczków codziennych spraw i zabiegów wegetacyjnych myśl wielką i naginali ją do swych małych potrzeb. A wkońcu używali jako sztandaru dla swych, sprzecznych najczęściej między sobą, wystąpień i, wyszedłszy z sztandarem na ulicę, krzyczeli: „Naszą jest prawda, gdyż **On** jest z nami!" A inni z naprzeciwka czynili podobnie i, zasłaniając się jego słowy, ogłaszali siebie za jedynych sukcesorów jego testamentu i mordowali tamtych. Byli i tacy, którzy bluźnili mu, krzycząc, że chce zguby Polski, że zawsze wiódł ją za życia do przepaści i teraz duch jego czyni to samo. I odwrócili się od niego. Byli i tacy, którzy zarzucali mu bogoburstwo i rzucali klątwę na niego. I przestrzegali przed nim młodzież. I byli wkońcu tacy, którzy propagowali konspirację milczenia o nim i dążyli do wymazania śladów jego z dusz potomnych. Byli przecież i tacy, co przyjąwszy jego ideę, powiedzieli jego słowami: „...albo niema ideałów, albo na wieki ideały!"

* * *

Ręce za lud walczące, sam lud poobcina,
Imion, miłych ludowi, lud pozapomina...
Wszystko przejdzie! Po huku, po szumie, po trudzie
Wezmą dziedzictwo cisi, ciemni, mali ludzie.

* * *

Gdy zabrakło **żywego Człowieka,** któryby sam sobą był miarą żywą swych słów, strzeżmy tej spuścizny w jej pierwotnej całości i czystości, byśmy jej nie oddali na łup polskiemu fatum, ciążącemu nad każdem wielkiem dziedzictwem ducha i czynu!

Stefan Kawyn.

przegląd polityczny

„Władza Piłsudskiego była władzą sprawowaną dla Narodu".

W pierwszą rocznicę zgonu Marszałka przypomniała „Gazeta Polska":

Jedno wiedział naród, gdy rządził Piłsudski, jednego co dnia i co roku się uczył, jedno bezustannie sprawdzał. To, że rozstrzygnięcie zapada wedle potrzeb całości Narodu. Każdy wiedział, że jego potrzeby będą uszanowane, jeśli je uszanować można, będą poświęcone, jeśli poświęcić trzeba. I wiedział także, że tak samo uczynione będzie z każdym innym. Wiedział, że niema w Polsce żadnej warstwy, żadnej partji, żadnego środowiska, któremu służyłby te rządy; wiedział, że niema żadnego dostojeństwa, żadnego przywileju, żadnej zasługi nawet, która zapewniałaby nietykalność. Wiedział, że Rządy, w których Marszałek zasiada, mogą błądzić — ale nie mogą, dzięki samej Jego obecności — stać się narzędziem władania, jednych nad drugimi, narzędziem jakiegokolwiek, nawet najszerszego interesu, prócz jedynego interesu — całości. Wiedział, że władza nie zawaha się żądać ofiar i nakazywać ofiary i brać je — ale wiedział zarazem, że żąda ich nie dla siebie i nie dla innych — ale dla wszystkich.

Władza Piłsudskiego była władzą sprawowaną dla Narodu. Nie dla ciebie i dla mnie, nie dla nich, tych czy tamtych, nie dla wyborców, ani wybranych, nie dla chłopów ani panów, nie dla robotników ani kapitalistów, nie dla bigotów ani masonów. Była sprawowana dla Polski — to znaczy dla tych nadewszystko, co po nas przyjdą. Rok temu zajrzał wieczór ostatni w okna belwederskiego pałacu. Rok temu zamknął się okres, burzą majową przed laty dziesięciu zaczęty — okres zrastania się w jedno Narodu. Rok temu poczuł Naród jedność osiągniętą — tak silnie jak nigdy jeszcze — gdy skłaniał głowy przed wysoką trumną. Rok temu przysięgał, że dotrzyma wierności Temu, kto odszedł. Dotrzymać musi.

Czy ci konserwatyści są Polakami?

Właśnie w rocznicę zgonu Marszałka zdarzył się fakt bezprzykładny w swej potworności. Wyszedł mianowicie kolejny tom „Naszej Przyszłości", organu koserwatywnego, w którym redaktor tego wydawnictwa, syn zmarłego przed rokiem historyka i wodza krakowskich Stańczyków, p. Jan Bobrzyński tak pisze:

„Z Niemcami mogłaby nam grozić wojna i w najgorszym razie, dajmy na to, zabór przez nich ziem polskich. I cóż z tego? Przez półtora wieku wysilały się potężne Prusy przedwojenne, z najsilniejszą na świecie armją, aby zniszczyć narodowo te trzy miljony Polaków w swym zaborze. I co zdziałały? Nic. Tem mniej byłyby w stanie zniemczyć przeszło 20 miljonów dzisiejszych Polaków, wzmocnionych narodowo i kulturalnie, aż do najniższych warstw, faktem odzyskanej niepodległości".

Na marginesie tej niesłychanej enuncjacji, pisze W. Rzymowski: Sens słów powyższych jest również przerażający, jak oczywisty. Autor ich z otwartością niepamiętaną chyba od czasu wielkich grabarzy, którzy na schyłku w. 18-go składali Państwo Polskie do grobu, zgóry już oswajać chce rodaków z myślą o utracie niepodległości. Tak pilno mu w objęcia obcego reżymu, asekurującego majątki obszarników, że, biegnąc doń, gotów jest Państwo własne podeptać. Nie wystarcza mu to, że wojnę, która nam grozić może, utożsamia z klęską, a klęskę utożsamia z nowym nieuniknionym zaborem. Niedość mu, że sztylet nieprzyjaciela kieruje w serce ojczyzny. Zabór ziem polskich? — pyta — i cóż z tego? Ten osobliwy patrjota, jak widzimy, nietylko chciałby Polaków z nowym do niewoli powrotem oswoić. Onby pragnął ich do niej zachęcić, on tłumaczy, że w tej niewoli nie było przecież tak źle...

Komentarz spóźniony, ale konieczny.

Kierownik parlamentarnej reprezentacji Unda, wicemarszałek Mudryj ogłosił w „Dile" w połowie kwietnia b. r., artykuł, omawiający zagadnienie „normalizacji stosunków polsko-ukraińskich" na tle wyników minionej sesji budżetowej Sejmu. Podkreśla p. Mudryj par excellence polityczny charakter reprezentacji Unda i jej działalności w Sejmie; stwierdza zaniepokojenie polskiej opinji publicznej polityczną pracą Unda; gani „ukraińskie czynniki opozycyjne", które „wywierają szkodliwy wpływ na postępy normalizacji".

O ile idzie o Sejm, to p. Mudryj uważa, że

„najprzykrzejszym momentem w ubiegłej sesji było przemówienie sen. Domaszewicza, w którem niedwuznacznie zadźwięczały nuty szowinizmu pochodzenia endeckiego".

Że przemówienie sen. Domaszewicza było „przykrem", „najprzykrzejszem" dla Unda — o tem nie wątpimy. Napewne jednak nie dlatego, jakoby było „pochodzenia endeckiego". Endecki bowiem pogląd zarówno polski, jak ukraiński, na zagadnienie stosunków na ziemiach poł. wschodnich petryfikuje i uznaje walkę dwu nacjonalizmów. Dąży do przedzielenia murem chińskim raz na zawsze obu społeczeństw. Pragnie organizowania życia obu społeczeństw we wszystkich dziedzinach na zasadzie politycznej odrębności narodowościowej. Zawsze dzieli. Nigdy nie łączy. Taki jest nacjonalizm Stronnictwa Narodowego i Unda. Temu właśnie endeckiemu nacjonalizmowi przeciwstawił się najkategoryczniej sen. Domaszewicz, wysuwając zasadę organicznego, rzeczywistego zespalania obu społeczeństw w e w s p ó ł p r a c y, w w s p ó l n y m w y s i ł k u d l a w s p ó l n e g o d o b r a — P a ń s t w a: „a więc droga zbliżenia, współpracy, współżycia przy wspólnym warsztacie działania, we wspólnych organizacjach gospodarczych, społecznych i kulturalnych. Tylko przez tworzenie warunków dla takiej wewnętrznej wspólnoty, polityka Państwa rozwiąże trafnie i trwale zagadnienie stosunków obu ludności w wojew. poł. wschodnich Państwa" (por. tekst przemówienia sen. Domaszewicza w nrze 5 „Now. Czasów" z dn. 15. III. b. r.). Cóż ten pogląd ma wspólnego z endeckim nacjonalizmem polskim? Co zatem pragnął osiągnąć cytowanym ustępem wicemarsz. Mudryj?...

Musimy wyznać, że passus p. Mudrego o przemówieniu sen. Domaszewicza zdaje się mieć specjalne cele na oku i budzi dlatego głęboki niesmak. Jeśli nasz domysł jest trafny, to passus ten panu wicemarszałkowi Mudremu, tak często dziś obcującemu z gabinetami i departamentami ministerjalnemi — napewne nie przynosi zaszczytu.

Groch z kapustą.

Równocześnie niemal zajęły się ideologją „Nowych Czasów" dwa pisma: „Front Robotniczy" (nr. 21 z 12. IV. b. r.) p. Moraczewskiego i „Myśl Narodowa" (nr. 19 z 3. V. b. r.).

Organ ZZZ., w i d z i w n a s z e m p i ś m i e t r y b u n ę... f a s z y z m u i r e a k c j i „jaśniepańskiej", komentując artykuł, w którym dowodziliśmy, że „front Państwa musi wchłonąć i podporządkować niesionej przez siebie idei wszystkie inne fronty", dziś „od dołu" organizowane. Z oczywistą złą wolą i perfidnie tłumaczy pismo p. Moraczewskiego, że przeciwstawiamy Państwo jednolitemu frontowi robotniczo-ludowemu i vice versa, „tak jak gdyby budowa jednolitego frontu pracy i mas ludowych była działaniem antypaństwowem". A my właśnie odwrotnie i to najwyraźniej w świecie dowodziliśmy konieczności (jak zresztą w każdym niemal numerze „Nowych Czasów") budowy Państwa społecznego, przejęcia i podjęcia przez Państwo budowy „jednolitego frontu pracy i mas ludowych". Znając jednak sędziwe poglądy posiedziciela „jaśniepańskiej" willi w Sulejówku p. Moraczewskiego — nie dziwimy się. On wolałby po staremu, od dołu, w sosie partyjno-liberalnie-parlamentarnym budować swój „front ludowy", a państwo zredukować z powrotem do wypróbowanej w 19 w., roli policjanta i stróża „swobód obywatelskich". A to jest właśnie „wyprzedaż starych zabawek i starych wytartych frazesów", które „rzeczywistość między bajki kładzie".

P. Zygmunt Wasilewski znowuż w „Myśli Narodowej" pasuje „Nowe Czasy" n a o r g a n „n i z i n p o g ł ę b i o n e j r e w o l u c j i", „L i g i o b r o n y p r a w c z ł o w i e k a", m a s o n e r j i i k o m u n i z m u w związku z artykułem p. t. „Przedwiośnie", w którym rozwijaliśmy pogląd o konieczności przebudowy naszego społecznego ustroju. I tu zła wola, ugarnirowana suto niewiarygodnemi bzdurami, święci smutne trjumfy. Czyż bowiem na czele Baryków staje dziś tylko Rosja p. Stalina? Czyż państwo społeczne to monopol tylko komunistycznej Sowdepji? „Si magna parvis comparare licet", możnaby powiedzieć o pp. Moraczewskim i Wasilewskim to samo, co ongiś powiedział o Leninie i Mussolinim „towarzysz" Turati: to przyrodni bracia! Bogiem a prawdą, oba te stare liberały najlepiejby się czuły w systemie parlamentarnej i partyjnej demokracji, a dzień, w którym do Polski powróciłby kułak z Wierzchosławic, byłby najwznioślejszem dla obu na starość przeżyciem i zadośćuczynieniem.

Swoją drogą, ta djametralnie różna etykieta, przypięta do konsekwentnie rozwijanej ideologji „Nowych Czasów", jest nad wyraz znamienna zarówno dla poziomu orjentacyjnego obu wymienionych organów, jak i dla typowego dziś w Polsce szablonu „szufladkowego" żywcem i owczym pędem przejętego z zewnątrz. Mówisz o Państwie — toś faszysta, mówisz o pracy i społeczeństwie — toś komunista. I ani w głowie takiemu nie postanie, że mówiąc o Państwie i społeczeństwie, że dążąc do ich pojednania i zrostu, można nie legitymować się cudzą wizytówką, a tylko skromnie szukać własnego, oryginalnego wyrazu polskiego.

„Niebezpieczna strefa Europy"

Polityka „wolnej ręki" uprawiana przez Niemcy z dużem powodzeniem, stwarza dzisiaj nowe, może jeszcze w tej chwili teoretyczne, niemniej jednak groźne dla Europy możliwości, realizowania niemieckich „projektów wschodnich". Zwycięstwo w Zagłębiu Saary, zremilitaryzowanie Nadrenji, — fakty, które w reakcji potęg europejskich wykazały tylko ich wielką bezsilność, — to budowanie przez Niemców „barjery zachodniej", zabezpieczającej ich od demonstracji Europy od ewentualnej kontrakcji w ich swobodnem działaniu na wschodzie. Nie na Zachód bowiem, ale na Wschód zwrócone są oczy Niemiec. Z dyrekcją na Wschód dokonywa się mobilizacja sił moralnych i militarnych, w oparciu o filozofję narodu witalnego, o jego prawo „do ziemi i słońca".

Wschód młodo - państwowy, o nieskrzepniętem jeszcze obliczu, ma być terenem ekspansji osadniczej rosnącego w liczbę narodu niemieckiego, ma być terenem ekspansji gospodarczej nad miarą uprzemysłowionego państwa, a zarazem spichlerzem — żywicielem, niezbędnym do życia obszarem agrarnym. Tylko w ścisłem porozumieniu i łącznością z Polską — pisał swego czasu Günther w Ostraum Berichte — zdolne są Niemcy stworzyć wielki obszar gospodarczy (Grossraumwirtschaft), samostarczalny pod względem rolniczym i przemysłowym, zbudowany na symbjozie kraju rolniczego i przemysłowego, tembardziej, że warunki naturalne i geograficzne, wynikające z równoleżnikowego pasowego układu ziem Polski determinują niejako ten obszar do wschodnio - zachodniego ciążenia. Podobnie pisze Wiktor Irk w „Geopolitik" rozpatrując problemy polityki rumuńskiej a odżegnując się od zarzutu propagowania idei „Deutschland bis zum Schwarzen Meere"...

Rumunja w połączeniu z centralną Europą, a przedewszystkiem z Niemcami, stanowi przez naturę stworzoną gospodarczą jedność (Wirtschaftseinheit). Przemysłowa nadprodukcja Niemiec i na eksport obliczona rolna, lasowa i górnicza gospodarka Rumunji stanowią obustronne uzupełnianie się najbardziej życiowo ważnych potrzeb, które dla wzajemnej wymiany posiadają odwieczną drogę wodną, łączącą obszar naddunajski.

Pojęcie „niemieckiego wschodu" jest płynne tak co do swego zasięgu i kierunku jak i cech, które istnienie tego pojęcia usprawiedliwiają. Używa się zatem wszelkich argumentów geograficznych, gospodarczych, socjalnych, aby w wyobraźni każdego myślącego Niemca, a następnie świata europejskiego zorganizować przeświadczenie, iż istnieje na wschodzie Europy obszar, który w samym sobie, w swojej strukturze geograficzno-etnicznej nosi zarodki przyszłych radykalnych zmian. Stanowisko Niemiec i ich akcja na tym obszarze, będzie tylko konieczną wypadkową takiego układu warunków.

Określenie tego obszaru, posługując się argumentami historycznemi i geograficznemi, usiłuje stworzyć znany geograf niemiecki Siegfried Passarge w art.: „Die grosse geopolitische Gefahrenzone Europas und ihre Raumbedingtheit" (Geopolitik, t. 3, 1936). „Przeciągnijmy linję, jedną nieco od Gdańska — pisze on — przez Przerów do Trjestu i drugą, która Narew przez Pińsk z Odessą łączy. Powstanie wówczas obszar, który nazwać możemy wielką strefą rojowiska narodowościowego (grosse Völker - Wirbelzone). Ta strefa jest obecnie regjonem najliczniejszych nowopowstałych państw, a zarazem stanowi niebezpieczną strefę Europy".

Na jakiem tle wyrasta to niebezpieczeństwo? Strefa przez Passarge'a wyodrębniona obejmuje czarnomorsko - bałtyckie zwężenie, międzymorze, po którem w ciągu wieków przez t. zw. bramy narodów przesuwały się wędrówki ludów bądź ku zachodowi, bądź ku połudn. zachodowi, wciskając się linją Dunaju do Renu. Natomiast od Europy środkowej parły ludy w przeciwnym kierunku. Dla dzisiejszego układu i rozmieszczenia narodowości duże znaczenie miało posuwanie się Słowian do linji dolnej Łaby, Sali, Menu i potem następujący niemiecki „Drang nach Osten", który stworzył najpierw austrjacki, później śląski i pruski półwysep, ale czeskiej i polskiej zatoki „niestety" — mówi z żalem Passarge — nie wypełnił. Powstały tylko daleko w głąb Polski, Czech, Moraw, aż do południowej Rosji wysunięte wyspy narodowościowe niemieckie. Także Polacy — zaznacza w innem miejscu Passarge — parli na wschód i na południowy wschód. W ten sposób „w obrębie małoruskiego obszaru utworzyły się archipelagi wysp polskich, których punktem centralnym jest Lwów" (!). Na jakiej statystyce opierał się autor, rysując mapę Polski, niewiadomo, rezultat jednak tej swoistej konstrukcji jest taki, że połowę conajmniej Polski stanowią wysepki polskie, zanurzone w morzu obcej narodowości...

Zmieszanie narodowościowe na półwyspie bałkańskim wynikło dzięki wędrówkom, które przyszły od południowej Rosji i od środkowej Europy. Napływ elementu tureckiego jeszcze bardziej rozluźnił zwartość narodową, powodując powstanie mozajki narodowościowej. W tej wielkiej strefie niebezpieczeństwa od półwyspu bałkańskiego do Bałtyku powstały liczne państwa narodowe najpierw na Bałkanach (Serbja, Rumunja, Grecja, Bułgarja), a po wielkiej wojnie nowe państwa między Europą środkową a Rosją. Rezultaty tworzenia się państw na tym terenie okazały się najszybciej na Bałkanach, które ze względu na zagadnienia narodowo - państwowe, znane były jako ustawiczne ognisko niepokoju i wrzenia. Panująca dzisiaj zasada nacjonalizmów stworzy jeszcze trudniejsze warunki w tem kotłowisku narodowości. Każdy naród chce sam organizować swoje życie w obrębie własnego państwa. Zasada narodowości staje się jednak farsą — mówi Passarge — jeśli tworzy się sztuczne, niezdolne do życia państwa.

Tylko zdolność do życia gospodarczego i politycznego jest realną podstawą powstania państwa. Według niemieckiego geografa brak tutaj zwartej narodowościowo przestrzeni o wystarczającym terytorjalnie zasięgu i dostatecznej liczbie ludności, zdolnej do samodzielnego życia. „Jak rodzynki w cieście tkwią wyspy narodowościowe w obrębie obcego narodu. Mapa narodowościowa podobna tu jest do dywanu zszytego z różnokolorowych płatków". Nie do wytrzymania staną się stosunki, gdy narody panujące będą uciskać (jak np. Czechosłowacja) — mówi Passarge bez myśli rzucania kamyka i w swój ogródek — narodowości na terenie swego państwa z zamiarem zupełnego ich zasymilowania. „Traktat wersalski usankcjonował i spetryfikował powstanie niezdolnych do samodzielnego życia państw, których atmosfera naładowana jest błyskawicami przyszłych gromów i burz".

Jakże niepokojąco w obliczu tej niemieckiej wizji nowej przyszłej Europy wygląda urzędowy optymizm polski, ugruntowany na kruchych podstawach traktatów. Jakże usypiająco działać może oficjalna wiara p. Smogorzewskiego w nieagresywność narodowo - socjalistycznych programów... Polskę włącza się przecież bezapelacyjnie w obręb „Wirbelzone", gdzie padać będą gromy, gdzie będą przesuwać się granice w imię przewidywanych przez Niemcy racyj.

Coraz częściej i coraz wyraźniej odsłania się zasadnicza sprzeczność między urzędowemi deklaracjami rządu niemieckiego, przeznaczonemi na eksport — a konsekwentnie opracowywanym przez „trust mózgów" niemieckich planem na długą falę. Tamto jest taktyką, dyktowaną przez chwilową i przejściową sytuację. Plan na długą falę jest zaś bezwątpienia rdzeniem i istotą rzeczywistych dążeń Trzeciej Rzeszy.

J. R.

* * *

...Wśród ludzi, którzy w trudnem nieraz życiu ciężkie łamali przeszkody i którzy pomimo to nadal będą optymistami, spokojnie można mówić o trudnościach, które przyszłość nastręczy. Można spokojnie oceniać przyszłe przeszkody. A nie są one małe. Jest to problem, nad którym biedzą się obecnie najtęższe umysły wszystkich krajów Europy, tej nowej Europy, która powstała po wojnie, tak bardzo niepodobnej do dawnej Europy przedwojennej.

Miljony i miljony ludzi zostały rzucone na nowe, nieznane im dawniej życie. Powstały nowe państwa, prowincje, oddzielone od jednych organizacyj państwowych, a przyłączone do drugich, wytrącone z dotychczasowych systemów życia gospodarczego, zmieniają swe życie pod względem prawno-politycznym i kulturalnym, przyzwyczajają się do siebie, jak nowoskojarzone stadło małżeńskie. Oto obraz nowej Europy, nowych jej wysiłków, nowych jej kłopotów. Ten problem, wytworzony nowem życiem, powstałem na gruzach starego życia, stoi przed nią. Zadanie nie jest łatwe, gdy się opuszcza tory, któremi się szło w ciągu lat, gdy na przeszkodzie stoją nabyte w ciągu pokoleń stare przyzwyczajenia, a nowe cechy i nowe systemy życia gospodarczego i prawno-kulturalnego wymagają nowych wysiłków myśli i woli, gdy przyzwyczajenie pociąga nieraz ku przykrym, może utartym i łatwym, ale zamkniętym drogom. Niema dziś państwa w Europie, któreby zmian powojennych nie odczuwało, niema państwa, któreby z podobnemi kłopotami nie miało do czynienia. Lata upłyną, zanim nowa Europa i nowy system życia przestaną budzić wątpliwości i stawiać nowe przeszkody...

(Z pism J. Piłsudskiego).

Dziesiąta rocznica

Dla narodów, które dokonały zwycięskich rewolucyj ustrojowych, stanowią rocznice tych przełomów źródło mocy, radości i dumy. Rocznicom tym towarzyszy liturgiczny przepych patosu narodowego i uroczysty łopot trjumfujących sztandarów rewolucji. Daty dokonania przełomu podnoszą te narody do godności narodzin nowej epoki — stąd liczenie lat nowej ery od Rewolucji francuskiej czy od marszu na Rzym. Egzaltacja narodowa upatruje w tej dacie początek nowego stylu życia, stylu, na którego podobieństwo rzeźbić ma swą kulturę często nietylko ten naród, który przewrotu dokonał, ale wszystkie narody. Żywioł rewolucji staje się wtedy z ducha imperjalistyczny, pragnie podbić cały świat i oddać go w służbę idei, której dał życie. Czy jednak zwycięska rewolucja ogranicza swój zasięg terytorjalnie, czy też zdradza tendencje uniwersalistyczne — zawsze o rozmiarach jej ekspanzji decyduje wielkość moralnej idei, którą na sztandarze swym wypisuje, zgodność celów rewolucji z kierunkiem rozwoju danej objektywnie rzeczywistości, stopień wiary mas w te cele (choćby bardziej wyczuwane, aniżeli rozumiane) i twórcza wola wykonawców rewolucyjnego mitu.

Przypadająca na dnie ostatnie dziesiąta rocznica Rewolucji Majowej nasuwa nieodparcie pytania: czy i my — podobnie jak we Włoszech, w Rosji i w Niemczech — mamy tytuł do radości i dumy z powodu tej rocznicy? Czy znajdujemy w dacie 12 maja 1926 r. źródło mocy, stylu nowego życia polskiego w odrodzonem Państwie? Czy po latach dziesięciu, czyniąc rzetelny rozrachunek, możemy ze spokojem i głębokiem przekonaniem powiedzieć: tak, ten przełom był konieczny i celowy, tak, widzimy jego pozytywne rezultaty, worganizowane w ustrój państwowego życia, które jest coraz lepsze, coraz mądrzejsze i silniejsze? A może raczej rocznica ta budzi i piętrzy w nas wątpliwości co do osiągniętych wyników, może zachęca do surowego potępienia dziesięcioletniego bilansu, lub, conajmniej, do wstydliwego przemilczenia dnia rocznicowego — w myśl maksymy: quieta non movere?...

Spróbujmy odpowiedzi na te pytania formułować na solidniejszej podstawie, aniżeli subjektywna opinja i emocja wyznawcy.

Przedewszystkiem więc spróbujmy odtworzyć obraz polityczny i gospodarczej sytuacji, tudzież nastroje i stan umysłów w przededniu przewrotu majowego. Pamięć ludzka na ogół jest bardzo zawodna a okres dziesięciu lat wystarczająco długi, aby prawdę tej sytuacji deformować. A przecież przełom majowy był nieuchronnym skutkiem danej objektywnie przyczyny w ówczesnej rzeczywistości polskiej.

Ta rzeczywistość była śmiertelnie chora. Świadomość istnienia tej choroby była powszechna. A choć różne widziano drogi wyjścia z tego patologicznego stanu rzeczy, poczucie, „że tak dłużej być nie może" — wiązało ze sobą najskrajniejszych przeciwników politycznych.

„Koalicja" gabinetu Aleksandra Skrzyńskiego była potwornem zakłamaniem, bezprzykładną fikcją. Nie było chyba rządu w dziejach, w którym jego członkowie żywiliby ku sobie gorętszą nienawiść, chociaż rodowód ich ustrojowej ideologji: parlamentaryzm, demokracja parlamentarna — był zasadniczo i bezwątpienia szczerze wspólny. Nie było dość silnej obelgi i oszczerstwa, którem organy ministrów Barlickiego i Ziemięckiego nie obrzucałyby ich „kolegów" Zdziechowskiego czy Stan. Grabskiego — i vice versa. P. Zdziechowski, ówczesne bożyszcze narodowej demokracji, najbliższy „człowiek" Dmowskiego — to był, w oczach lewicy partyjnej, nietylko najbardziej reakcyjny minister skarbu, ale także wykładnik owej „moral insanity", rozkładającej Państwo. PPS., w oczach endecji to były szczyty demagogji, która Państwo wiodła ku katastrofie. Minister skarbu prowadził typowo „deflacyjną" w ówczesnym stylu politykę: opierając swój program na dążeniu do równowagi budżetu, realizować chciał to dążenie poprzez najbardziej drakońskie redukcje, oszczędności, „zaciskanie pasa". Nawet budżet wojskowy okrawywano, przyczem w tej sprawie podkreślić wypada zgodną postawę endecji i PPS. Ale godząc się w tej sprawie, endecja, jak mur, stała na froncie deflacjonistycznym, PPS zaś domagała się „nakręcania konjunktury", ożywienia życia gospodarczego.

W społeczeństwie panował chaos, dezorjentacja, upadek wiary w cokolwiek i kogokolwiek. Politycznie — władza leżała na ulicy. Prezydent Rzplitej spędzał dnie i noce całe na kolejnem przyjmowaniu przedstawicieli partyj, ulegał dziś tej, jutro djametralnie innej sugestji, pozbawiony był woli decyzji i jakiegokolwiek rzeczywistego autorytetu tudzież mocy jego realizowania. „Rząd" był w Sejmie, Sejm w osobach swoich wysłanników gabinetowych urzędował w radzie ministrów. Biurokracja dopuszczała się nadużyć, była moralnie rozprzężona. Komuniści i wszelakie elementy wywrotowe grasowały po ulicach miast, organ endecji stwierdzał, że „mamy stałe biuletyny rozruchowe".

„Robotnik" w dniu 18 marca 1926 r., pisał:

> „Zgroza przejmuje każdego uczciwego człowieka, obserwującego życie publiczne w Polsce. Łajdactwo wszelkiego rodzaju pleni się we wszystkich krajach. Ale to, co się dzieje u nas, przechodzi wszelkie granice. Wszelka kanalja podnosi butnie głowę, wszędzie się wciska, wszystko opanowuje i wszystko, co dobre i uczciwe, teroryzuje. Stugłowa hydra toczy nasz młody organizm państwowy, dusi całe nasze życie publiczne, zatruwa całą atmosferę, która z każdym dniem staje się trudniejsza do zniesienia!... Tchórzostwo czynników obowiązanych do tępienia zła zachęca rosnącą na siłach kanalję... Oto czynniki spychające młode państwo w przepaść... **Żyjemy w ostatecznym momencie,** kiedy walka ze złem, energicznie prowadzona, może jeszcze wydać dobre rezultaty".

Tak oceniała PPS moralny stan rzeczy w przededniu przewrotu. Jakie natomiast proponowała środki zaradcze? Otóż tu — jeśli usuniemy na bok frazeologję ogólników niemających mocy bezpośredniego kształtowania groźnej sytuacji — napotkamy pustkę, dosłowną pustkę. Po odwołaniu socjalistów z gabinetu p. Skrzyńskiego, lewica toczyła narady nad utworzeniem nieokreślonego bliżej „jednolitego frontu demokratycznego" (czegoś w guście dzisiejszych pomysłów „Frontu Ludowego"). Czyniła to jednak lękliwie i bez przekonania, podkreślając równocześnie piórem p. Niedziałkowskiego załamanie się w masach wiary w system demokracji parlamentarnej. Z drugiej strony P. P. S. wypowiadała na śmierć i życie walkę komunistom, gdyż jak dowodził „Robotnik" (z 3. V. 1926) „Lenin i Mussolini w zakresie programu politycznego są braćmi przyrodnimi". W dniu 1 maja 1926 starli się też socjaliści krwawo z komunistami na ulicach Warszawy (6 zabitych i kilkudziesięciu rannych).

A jak oceniała położenie i jakie widziała drogi ocalenia sojuszniczka PPS., na przeciwległym biegunie koalicji — narodowa demokracja?

Stwierdzając stan „histerycznej psychozy" w społeczeństwie, wysuwając widmo „katastrofy i kontroli zagranicy nad Polską", wyrażając nadzieję, że „naród polski nie jest cierpliwem bydlęciem, które pozwoli się bez oporu prowadzić pod nóż bolszewickiego rzezaka" (nry z 17, 18 i 19 kwietnia 1926), pisała „Gazeta Warszawska" w dn. 23 kwietnia:

> „Dosyć mamy tych stronnictw, które potrafią rządy obalać, ale same nie potrafią rządzić. Położenie jest zbyt ciężkie, by można było podważać do reszty powagę rządu i sejmu... Nasze wody polityczne są już aż zanadto mętne. Więcej powietrza w tę duszną atmosferę. Kto chce obalać rząd, musi wziąć odpowiedzialność za to, co będzie potem".

A w dniu 3 maja, pisząc o „wyuzdaniu wolności" to samo pismo podnosi:

> „Nasza konstytucja jest najbardziej liberalna w świecie, o ile chodzi o zabezpieczenie praw jednostki. Wolno w Polsce jak kto chce. Pod osłoną nietykalności poselskiej grasuje niejeden opryszek polityczny... Ale społeczeństwo polskie dość ma już tej swawoli. **Tęskni za władzą. Wszyscy mówią o silnym rządzie.** Różni Kiereńscy, choćby nawet w polskiem wydaniu, nie znajdują miru w społeczeństwie. Poskromić trzeba nietylko anarchję komunistyczną, ale również i **anarchję parlamentarną.** Rządy w dzisiejszym ustroju opierają się na zasadzie rządów większości. Ale tej większości dawremnie się szuka od siedmiu lat".

Dowodzi też w konkluzji ten organ, że bez zmiany konstytucji „nieuchronną jest ruina systemu parlamentarnego".

Tak tedy oba skrzydła koalicyjne, PPS i narodowa demokracja, zgodne były w ocenie katastrofalnego położenia wewnętrznego Polski w przededniu przewrotu. Co więcej! Obie strony mniej lub bardziej wyraźnie doszukiwały się przyczyn tej katastrofy w gangrenie ustroju parlamentarnej demokracji.

A wniosek konkretny, bezpośrednio konkretny, jaki z tej djagnozy wynikać musiał — zawierał się w jednem, wyzwalającem słowie: **władza. Władza Głowy Państwa, władza Rządu, władza nowej moralności.**

> „Najdemokratyczniejsza konstytucja — pisałem w ówczesnem „Słowie Polskiem" (z dn. 4 kwietnia 1926) — pozbawiła Głowę Państwa wszelkiego realnego wpływu na kierowanie Państwem a najdemokratyczniejsza ordynacja wyborcza obdarzyła nas parlamentem, niezdolnym do twórczej pracy,... do wytworzenia trwałego i silnego rządu... Musi nastąpić przebudowa psychiki społeczeństwa, przebudowa, której przewodnią ideą musi być: obywatele dla Państwa, a nie, jak dotychczas: Państwo dla obywateli. Ta przebudowa psychiki dokonywać się musi w kierunku od klasowo-stanowego egoizmu do narodowo - państwowego kolektywizmu, od indywidualistycznego liberalizmu etycznego do moralności, której regulatorem jest dobro najwyższej organicznej zbiorowości: narodu".

Wszystko powyższe przypomniane zostało oczywiście nie po to, aby dziś usprawiedliwiać dokonanie przełomu przez marsz. Piłsudskiego. To byłoby bezcelowe, bo racje moralne, polityczne i społeczne przewrotu, wywodząc się nieubłaganie z objektywnej rzeczywistości — przez nikogo dziś właściwie nie są kwestjonowane. Wspomniki powyższe **po dziesięciu latach** — dać mają, jak sądzę, dostateczne podstawy do objektywnego stwierdzenia **w dziesiątą rocznicę, że Rewolucja Majowa urzeczywistniła naprawdę nietylko swoją ale całego narodu wolę: wolę władzy w Państwie, wolę władzy Państwa.**

Wiele jest dzisiaj — po latach dziesięciu — podobnych znamion trudności położenia, jakie cechowały sytuację przed majem 1926 r. Już choćby z przytoczonych wyżej cytat, te analogje rzucają się w oczy. Zwłaszcza na odcinku gospodarczym i finansowym podobieństwa są niekiedy uderzające. Wzmożona agitacja komunistyczna przypomina również ówczesne próby rozstroju. Co prawda, różnice są tu także niemałe, nietylko jeśli się zważy, że frazes w ustach „Robotnika" z r. 1926 o Leninie i Mussolinim jako „przyrodnich braciach" dzisiaj jest nie do pomyślenia, ale także, gdy uzmysłowimy sobie jak szybko postępuje proces faktycznego „unjonizmu" 2-giej i 3-ciej międzynarodówki w Polsce, proces zrastania się radykalnego skrzydła PPS (i nietylko PPS) z komunizmem.

Wszystkie te jednak analogje i różnice tudzież wszystkie trudności dzisiejszej chwili, nie mogą nam zaciemnić naczelnego faktu: faktu silnej władzy państwowej, władzy Prezydenta i władzy Rządu, stworzonego w dniu 12 maja 1926, zabezpieczanego i wzmacnianego do kwietnia 1935 a utrwalonego prawnie w konstytucji kwietniowej. **Rozwiązując pozytywnie zagadnienie władzy w Państwie, Rewolucja Majowa spełniła naczelne żądanie narodu polskiego w odrodzonem Państwie.** W stwierdzeniu tego faktu tkwi właśnie tytuł do radości i dumy narodowej w dziesiątą rocznicę Rewolucji, która rzeczywiście stała się źródłem mocy Państwa. Dziś bowiem, **każdy** Prezydent Rzeczypospolitej i **każdy** rząd, prowadzić może dalsze dzieło budowy Państwa w poczuciu i świadomości mocy, jaką Państwu daje konstytucyjnie zagwarantowana a przez Piłsudskiego w dniu 12 maja 1926 r., faktycznie stworzona „jednolita i niepodzielna władza państwowa".

* * *

Zarówno marsz. Piłsudski, jak i pokolenie mu współczesne, „obowiązane wysiłkiem własnym wzmóc siłę i powagę Państwa" — wypisało na sztandarze Rewolucji 26-go roku po naczelnym postulacie władzy, inne jeszcze hasło: hasło naprawy moralnej.

Hasło to nie zawierało, nie mogło przecież zawierać tylko potocznie w obiegu będącej dewizy etyki indywidualnej i publicznej: „bądź dobrym, nie bądź złym", „kochaj bliźniego, jak siebie samego" itd., itd. Przewrót majowy wysuwając hasło naprawy moralnej, nie miał napewne zamiaru rywalizować z kościołem w realizowaniu wiekuistych przykazań religji. W haśle tem mieścić się musi konkretna, realna ideologja ustrojowa, ideologja przebudowy dotychczasowego ustroju społecznego na taki, który jedynie zdolny jest stworzyć rzeczywiste warunki dla naprawy moralnej.

Dziś, w dziesiątą rocznicę przełomu, w obliczu piętrzących się trudności, bardziej napewne, niż kiedykolwiek, tę prawdę rozumiemy: w obecnym ustroju społecznym, w ustroju, którego ojcem jest kapitalizm liberalny a dzieckiem moralność prywatnego człowieka, oderwanego od „wspólnego dobra" — w tym ustroju rzeczywista, istotna naprawa moralna nie da się urzeczywistnić.

Zejdźmy jednak z koturnu wielkich haseł do doświadczeń praktyki. Właśnie dziś możemy na marginesie tych haseł napisać skromny, ale interesujący komentarz.

Ministerstwo Opieki Społecznej wydało ostatnio obszerną publikację p. t. „Polityka społeczna Państwa Polskiego: 1918—1935" (Warszawa, 1936, str. 457). Jest to przegląd dokonanych przez wszystkie dotychczasowe rządy prac w dziedzinie polityki społecznej. Owszem, bardzo ciekawy ten materjał dowodzi, iż wszystkie niemal rządy włożyły wiele wysiłku w normowanie zagadnień pracy i opieki społecznej. Zaprowadzając przymusowe urlopy płatne robotnicze i pracownicze dała Polska nawet inicjatywę, którą stopniowo przejmują inne państwa.

Ogólny jednak obraz rezultatów siedmnastoletniej polityki społecznej odrodzonego Państwa, jest raczej posępny. Polityka ta **nigdy** (nawet wówczas gdy resortem jej kierowali „społecznicy", względnie oficjalni przedstawiciele świata pracowniczego) nie była kierowana w imię jakiegoś określonego ustrojowo programu ideowego, nigdy nie posiadała kierowniczej idei, już nie rewolucyjnej, ale spokojnej, powolnej przebudowy (w ramach nawet ustroju kapitalistycznego) stosunków społecznych w duchu tych przeobrażeń, jakim podlega dziś cały prawie świat. Ustawodawstwo społeczne w Polsce nietylko nie opiera się na przesłankach rewolucji społecznej, ale przeciwnie: można mu raczej postawić zarzut, „iż w niedostatecznej mierze uwzględnia głębsze przeobrażenia ekonomiczne, finansowe i moralne, które już niedwuznacznie ukazują się dzisiaj w Polsce i w całym niemal świecie" („Droga", maj 1936).

Konstytucja kwietniowa zagadnienia społecznego nie postawiła i nie rozwiązała. Co więcej! Przedstawiciele „zorganizowani" świata pracowniczego w pracach nad nową konstytucją **żadnego** świadomego udziału nie brali. Mam te fakty dobrze w pamięci i mógłbym na podstawie posiadanych materjałów niejeden przykład cytować, jak, mimo ostrzeżeń, hałaśliwi dziś autorowie artykułów „Frontu Robotniczego" lekce sobie ważyli i bagatelizowali pracę nad konstytucją. Czy można się wobec powyższego dziwić, że w urzędowej, praktycznej polityce społecznej, odsuwano żywe siły społeczne (zwłaszcza warstw pracujących) od udziału przy opracowywaniu ustaw i rozporządzeń z jednej strony, i przy ich wykonywaniu — z drugiej. Zaniedbano zupełnie sprawy takie, jak utworzenie Izb Pracy, zapowiedzianych już w konstytucji z 1921 r., jak prawodawcze zagadnienia przedstawicielstwa robotniczego i pracowniczego wobec pracodawców, itd. itd. Przecież nawet do odbytej niedawno narady gospodarczej nie wezwano przedstawicieli świata pracowniczego...

* * *

Te skromne, ale konkretne przykłady niedomagań naszej polityki społecznej, wykazują aż nadto wyraźnie, jak daleko jesteśmy jeszcze od stworzenia rzeczywistych warunków, w których drugie wielkie hasło Rewolucji Majowej — naprawy moralnej — zejść mogłoby z obłoków na twardy grunt osiągnięć.

> „Kto chce być dzisiaj demokratą — rozwijał Ignacy Matuszewski ideologję społeczną przełomu majowego w „Głosie Prawdy" z dn. 11. X. 1926 — ten nie może być liberałem. Liberalizm z całym swym balastem teorji wolności jednostki, wolności wymiany, wolności handlu, wolności wyzysku, wolności a outrance — był pożyteczną bronią demokracji wówczas, gdy walczyła ona o swoje prawo do władzy, wówczas gdy wydzierała ją z rąk innych. Ale my demokracja po wzięciu władzy w ręce, mamy nadal śpiewać sobie kołysankę z r. 1848?... Kto chce być demokratą, ten musi myśleć przedewszystkiem, aby system ludowładztwa był **sprawny, dalej aby był sprawiedliwy... Inaczej nie będzie go wcale**".

Systemat demokracji „sprawnej" funkcjonuje dzięki konstytucyjnej zasadzie władzy. Czy „systemat" ten jest „sprawiedliwy"?... Czy **wszystkie** twórcze i żywe siły narodu pracującego jedna i zdobywa dla idei Państwa? Czy zapala je ogniem wiary i wolą czynu? Czy Państwo wchłania w nurt swego rozwoju naród, czy staje się państwem społecznem, a więc państwem sprawiedliwem?

Z temi dręczącemi pytaniami wchodzimy w drugi okres Państwa, przeobrażonego czynem Józefa Piłsudskiego w maju 1926 roku.

Stefan Mękarski.

MALARSTWO MAŁOPOLSKIE W SZWECJI

Propaganda artystyczna będąca mniej może popularną od sportowej, ale trafiająca bezsprzecznie do elity danego społeczeństwa, jest u nas wybitnie lekceważona. Leżą przedemną przesłane mi ze Szwecji recenzje o odbywającej się tam wystawie malarzy małopolskich ze Lwowa i Krakowa, recenzje z poczytnych dzienników, jak: Sydorenska Dagbladet czy Skanska Dagbladet, z licznemi reprodukcjami obrazów, z wnikliwem omówieniem naszej kultury artystycznej. Przedsięwzięcia takie przechodzą u nas prawie bez echa. A przecież każda taka wystawa, to szerzenie wiedzy o sztuce i kulturze polskiej, to zainteresowanie nią widza zagranicznego.

Wystawę malarstwa małopolskiego zainicjował w Szwecji dr. Zygmunt Łakociński, lektor uniwersytetu w Lund, który jako historyk sztuki i jako jeden z Polaków pracujących wybitnie w Szwecji nad naszą propagandą kulturalną, chciał także zapoznać kraj ten przynajmniej w części z współczesnem młodem malarstwem polskiem. Jako organizatorowi towarzystw „Polsko - Szwedzkiego" i „Polaków w Szwecji" udało mu się doprowadzić to do skutku wraz z konsulem generalnym G. Holmem i konsulem S. Kocanem, i pod ich protektoratem została wystawa ta otwarta w Muzeum w Malmö, a obecnie ma zostać przesłana do Sztokholmu a potem do Göteborgu. W kraju zorganizowały wystawę Związki Zawodowe Artystów Plastyków za pośrednictwem komisarzy wystaw, w Krakowie E. Gepperta i we Lwowie W. Marsa.

We Lwowie Zarząd Miejski dopomógł subwencją do wysłania obrazów zagranicę. Jury wystawy tworzyli we Lwowie W. Lam, Z. Radnicki, O. Axer i H. Streng. Ze Lwowa biorą udział następujący artyści: W. Breiter, L. Chwistek, O. Hahn, J. Janisch, F. Kleinman, S. Kramarczyk, W. Krzyżanowski, W. Lam, L. Little, W. Mars, S. Mikuła, S. Osostowicz, Z. Radnicki, M. Sielska, H. Streng, S. Teisseyre, L. Tyrowicz, M. Wodzicka, T. Wojciechowski.

Wystawa w Malmö cieszyła się dużem powodzeniem i była licznie zwiedzana. Recenzenci ustosunkowywali się różnorodnie, bardziej entuzjastycznie czy mniej, zależnie od poglądów artystycznych, niżeli reprezentujących.

Anna Marja Mars.

Kazimierz Twardowski

W r. 1895 Kazimierz Twardowski przybył do Lwowa, żeby objąć katedrę filozofji na Uniwersytecie J. K., w dniu zaś 15 listopada tegoż roku wygłosił swój wykład inauguracyjny. Czterdzieści więc lat z okładem działa na gruncie lwowskim, nie ustając (mimo przejścia na emeryturę) ani w pracy, ani w dawaniu inicjatywy do licznych poczynań naukowych i kulturalnych, ani w szerzeniu własnym przykładem hasła czynnej i obowiązkowej postawy życiowej. Kilka pokoleń pracowników naukowych zarówno w filozofji jak i w naukach szczegółowych, nauczycieli gimnazjalnych i t. d. zawdzięcza mu czy to podstawy swej wiedzy i zainteresowań naukowych, czy też zasadnicze rysy wychowania intelektualnego i moralnego. Uczniowie jego działają dziś na wielu polach tak w samym Lwowie, jak i w innych ośrodkach pracy kulturalnej prawie wszystkich dzielnic Polski. We Lwowie jeszcze na szereg lat przed wojną powstało po jego przemożnym wpływem pierwsze w Polsce ognisko zespołowej pracy filozoficznej, promieniujące — zwłaszcza od chwili odzyskania niepodległości — na całą Polskę. W ten sposób osoba i działalność profesora Twardowskiego jest w ścisły sposób związana z atmosferą duchową Lwowa w ostatnich kilkudziesięciu latach. Wycisnął on na niej niejedno znamienne piętno swojego ducha.

Równie ważna, jak ogólno kulturalne znaczenie profesora Twardowskiego dla Lwowa, jest jego rola w rozwoju współczesnej filozofji polskiej. Jako uczeń wybitnego filozofa Franciszka Brentany przejął Twardowski od swego mistrza nietylko niektóre podstawowe twierdzenia, ale przedewszystkiem pewną metodę pracy i pewną zasadniczą postawę wobec filozofji, które z kolei przekazał licznym swym uczniom. Przez wdrożenie ich w pewien **styl pracy naukowej** na terenie filozofji stał się prof. Twardowski niewątpliwie **inicjatorem nowego okresu filozofji polskiej.** I rzecz szczególna: uczynił to nie tyle przez swoje pisma, co przez bezpośrednie oddziaływanie na swych uczniów. Publikował bowiem dotychczas stosunkowo nie tak wiele. Do najważniejszych jego pism należą: Idee und Perzeption (1892), Zur Lehre vom Inhalt und Gegenstand der Vorstellungen (1894), Wyobrażenia i pojęcia (1898), O t. zw. prawdach względnych (1900), O czynnościach i wytworach (1911), O istocie pojęć (1924), Rozprawy i artykuły filozoficzne (1927). Prace te nie przynoszą jakiegoś systemu filozoficznego. Są to wyłącznie **monografje** na wąsko zakreślone **tematy szczegółowe.** Nie jest to przypadek, lecz jedynie zewnętrzny wynik świadomej woli badacza. W zdecydowanem przeciwstawieniu się twórcom rozległych systemów filozoficznych Twardowski pragnął dawać jedynie rozprawy na temat wyraźnie odgraniczonych, można powiedzieć **wyizolowanych** zagadnień, przy świadomem odsunięciu na plan dalszy wielkich, a mało przejrzystych kompleksów teoretycznych. Wola uzyskania jak największej jasności badania, jak też i naukowej odpowiedzialności za każde wygłaszane twierdzenie wysuwa się na czoło całej jego działalności naukowej i pedagogicznej. Pozytywnie przejawia się to przedewszystkiem w trosce o stworzenie precyzyjnie sformułowanych pojęć, w przeprowadzaniu subtelnych językowych i rzeczowych rozróżnień, w staraniu o jednoznaczność wygłaszanych twierdzeń i ich ścisłe uzasadnienie. Negatywnie zaś wyraża się to w odrzuceniu wszelkich niejasnych teoryj i pojęć, w wykluczeniu z badań filozoficznych wszystkich pytań nierozwiązalnych, lub przynajmniej w przejściowem wstrzymaniu się od opracowywania zagadnień, do których rozwiązania brak wystarczających podstaw w dotychczasowych wynikach naukowych. W parze z tem idzie odrzucenie wszelkiej metafizyki, usunięcie na stronę tradycyjnych zagadnień epistemologicznych i zacieśnienie badań filozoficznych prawie wyłącznie do szczegółowych zagadnień psychologji opisowej, logiki (resp. semantyki) i ogólnej teorji przedmiotu.

Trzeba podkreślić, że przy tym stanie badań filozoficznych w Polsce, jaki profesor Twardowski zastał po przyjeździe do Lwowa w r. 1895, przy wielkim zwłaszcza braku pracowników odpowiednio przygotowanych do dociekań filozoficznych, to tak silne zacieśnienie dziedziny badania filozofji miało doniosłe i bardzo dodatnie znaczenie, pozwoliło bowiem na stosunkowo łatwym materjale badawczym wyszkolić odpowiednią metodę postępowania naukowego. Rugowanie jednak zagadnień podstawowych, stanowiących nerw dociekań filozoficznych, traktowanie problemów w izolacji przy straceniu z oczu rozległych związków pomiędzy zagadnieniami — propagowane jako **stała** metoda postępowania w filozofji kryło w sobie zarazem pewne niebezpieczeństwo dla dalszego rozwoju badań, o czem świadczą zresztą dość wyraźnie późniejsze koleje filozofji polskiej. Tam, gdzie — jak w logice lub w psychologji — można opracowywać niektóre przynajmniej zagadnienia w izolacji, tam uzyskano w kołach uczniów prof. Twardowskiego wyniki niewątpliwie wartościowe i godne uwagi, natomiast istotne dla filozofji zagadnienia, najeżone trudnościami i uwarunkowane przez rozliczne związki z innemi zagadnieniami, z biegiem lat coraz więcej usuwane były w cień, aż się narodziła nawet teorja i to są t. zw. „zagadnienia pozorne", „bez sensu".

Bardzo znaczną część poglądów swych prof. Twardowski podawał do wiadomości tylko pod postacią wykładów uniwersyteckich. To też dopóki nie zostaną one ogłoszone drukiem, trudno sobie wyrobić syntetyczne pojęcie o tej całości teoretycznej, jaką reprezentuje dorobek naukowy profesora Twardowskiego. Zresztą o danie takiej syntezy niepodobna kusić się w krótkim artykule informacyjnym. Ograniczając się tedy tylko do tej części tego dorobku, jaka jest dostępna w druku, należy wskazać na następujące najważniejsze dociekania profesora Twardowskiego: 1. rozróżnienie aktu, treści i przedmiotu przeżyć świadomych (zwłaszcza zaś „przedstawień"), 2. wysunięcie i uzasadnienie tezy, że każdemu aktowi przedstawienia odpowiada przedmiot „intencjonalny", 3. podjęcie na nowo badań nad t. zw. przedmiotami ogólnemi (idealnemi lub ideami, jak potem przyjęło się mówić), 4. analizy dotyczące formalnej budowy przedmiotu wogóle, 5. studja nad różnemi funkcjami i tworami języka, wreszcie 6. próba ujęcia znaczenia słowa jako wytworu pewnych specjalnych czynności świadomych i przezwyciężenia na tej drodze t. zw. psychologizmu w logice, a zarazem uniknięcia przyjęcia t. zw. przedmiotów idealnych.

Rozwiązania, które w tych sprawach prof. Twardowski przedstawił czytelnikom, stanowiły nieraz bodziec do dalszych dociekań szeregu polskich i zagranicznych uczonych (zwłaszcza z t. zw. szkoły austrjackiej — a więc uczniów Brentany), jakkolwiek prawdą jest, że badania tych uczonych przyniosły potem wyniki nieraz znacznie dalej prowadzące i częstokroć radykalnie różne od twierdzeń profesora Twardowskiego. Nie zmienia to w niczem faktu, że prof. Twardowski na terenie szeregu zagadnień był pionierem, a nie naśladowcą.

Omawiając owoce pracy profesora Twardowskiego nie można pominąć dwu jeszcze spraw, ważnych dla polskiej filozofji: jedna — to założenie i prowadzenie przez przeszło lat 30 Polskiego Towarzystwa Filozoficznego we Lwowie, które stało się bardzo żywotną placówką badań filozoficznych, druga — to wydawanie czasopisma „Ruch Filozoficzny", którego kilkanaście tomów, dotychczas wydanych, nietylko stanowiło dla wielu uczonych wielką pomoc w pracy, ale co więcej będzie kiedyś niewyczerpanem źródłem wiadomości szczegółowych i niezawodnych do dziejów filozofji polskiej w ostatnich 25 latach. Pod troskliwą opieką profesora Twardowskiego ukazał się wreszcie szereg publikacyj P. Tow. Filozoficznego, wzbogacających nasz dorobek na tem polu.

Gdy dziś z okazji przyznania profesorowi Twardowskiemu nagrody naukowej miasta Łodzi rzucamy okiem wstecz na prawie już pół wieku konsekwentnej pracy Seniora polskich filozofów, to bez względu na to, czy się godzimy na jego naczelne twierdzenia, czy jesteśmy wyznawcami jego metod filozofowania, czy też pragnęlibyśmy je skierować na inne tory, wszyscy musimy uznać, że gdyby nie owe 40 lat uporczywego trudu i zawsze ochotnej siejby intelektualnej profesora Twardowskiego, oblicze polskiej filozofji całkiem inaczejby dzisiaj wyglądało. Wiemy też, iż w wielu sprawach jest on dziś tak samo niezastąpiony, jak wówczas, gdy święcił swoje pierwsze tryumfy pedagogiczne na gruncie lwowskim. To też jedynie życzeniem, żeby zdrowie jak najdłużej pozwoliło Czcigodnemu Profesorowi dalej pracować dla dobra i chwały polskiej filozofji, można zakończyć ten tak wielu uzupełnień domagający się artykuł.

Roman Ingarden.

Najpiękniejsza edycja mickiewiczowska

Bibljoteka Uniwersytecka we Lwowie nabyła ostatnio egzemplarz luksusowego wydania „Sonetów Krymskich" Mickiewicza, „odbitego ręcznie we florenckiej oficynie Tyszkiewiczów". Ponieważ druk ów — dzieło sztuki edytorskiej wysokiej klasy — nie jest może szerzej dostatecznie znany — warto książce tej i jej twórcom poświęcić obecnie chwilę uwagi.

Od lat kilku, osiedli w Florencji Maryla i Samuel Tyszkiewiczowie podjęli w stworzonej przez siebie tłoczni wydawnictwo szczupłych liczbą i nakładem, zato niezwykle cennych i wybrednych publikacyj. Dzieje owej jedynej w swoim rodzaju drukarni opowiedziała Maryla Tyszkiewiczowa w czasie III Zjazdu Bibljofilów Polskich we Lwowie w 1928 r. i opublikowała w Pamiętniku Zjazdu. Powstała ona w 1928 r. z chęci nadania własnym dziełom typografów: M. Tyszkiewiczowej „Bernardo Rossellino" i S. Tyszkiewicza „Fiorenza" — szaty książkowej idealnie zestrojonej z pracą i zamierzeniami autorów. Ponieważ próby czynione u wydawców nie odpowiedziały dostatecznie godnie tym założeniom, postanowili stworzyć swe książki sami — i to od „a" do „z". Początkowy od specjalnie dla nich wyrabianego ręcznie papieru z własnym znakiem wodnym z papierni Checchi w Pescji, wyboru wykwintnej czcionki „Nicolas Cochin", uzupełnionej znakami polskiemi z florenckiej odlewni Pierallini, Turchi & Co, własnoręcznego składania druku i takiegoż odbijania po jednym arkuszu, a skończywszy na ich zszywaniu i ręcznej oprawie w spreparowany specjalnie pergamin i sporządzone przez siebie „pages de garde" — wszystko to jest własną pracą dwojga ludzi — entuzjastów tworzenia ksiąg — najpiękniejszych.

Po pierwszej publikacji poszły dalsze, coraz świetniejsze. „Stamperia Polacca" Tyszkiewiczów, mieszcząca się w dwóch pokoikach przy Piazza d'Azeglio, poczęła zyskiwać rozgłos europejski. Świadczy o tem oddanie im tego rodzaju wydawnictw, jak katalog zbiorów G. Dreyfusa w Paryżu, zakupionych przez antykwarza Duveena — drukowany w 24 egzemplarzach w formacie o powierzchni prawie 1 m²; „Studies in the History and Criticism of Sculpture" Clarence Kennedy (100 egz.); Manita de Hutschler: „Familles Romaines" (50 egz.); Nicola Ottokar: „The Medieval City - Communes" (100 egz.).

Tyszkiewiczowie nie zapominali jednak i o rzeczach polskich. Wydali J. A. Teslara: „Devant la Colonne de Mickiewicz"; „Sonety Krymskie" w oryginale i po włosku, traktat Cennino Cennini: „Rzecz o malarstwie" i — ostatnio — Dantego „Vita Nuova" w przepięknym przekładzie Porębowicza.

Z pośród nich pierwsze miejsce należy się „Sonetom". Najpierw wyszedł — ukończony "w dniu Narodzenia, Roku Łaski 1929", taką bowiem formułę przyjął typograf dla dat publikacyj — przekład włoski „Sonetów Krymskich" Oskara Skarbek Tłuchowskiego. W roku następnym wydano „Sonety" po polsku, w identycznej wysoce luksusowej szacie typograficznej. Na czele książki położono datę: r. 1929; oznacza ona jedynie początek pracy; druk ukończono w jesieni 1930 r., poświęcając go pamięci Wieszcza „w siedmdziesiątą piątą rocznicę śmierci" — tegoż pamiętnego dnia: 26 listopada.

Otwórzmy piękną księgę. Tyszkiewiczowie wprowadzili jednolity typ opraw dla swych wydawnictw: „w pergamin wedle florenckich zwyczajów", obciągnięty gładko na grubej tekturze na kształt autentycznych starych opraw. Ta stylizacja, dobra w dziełach owo-wiecznych, przy Mickiewiczu wydaje się trochę za ciężka. Ona to nadaje wagę książce z 70 kart; w prospekcie określono ją na 1700 gr. Od białej płaszczyzny skóry odbija arabski wycisk z napisem „Al Krim", w którego zawiłych linjach nieświadomy a obdarzony fantazją czytelnik gotów ujrzeć... stylizowany monogram A. M. Wewnętrzne wielobarwne wyklejki linorytowe na wzór ludowych tkanin tatarskich przypominają trochę podobieństwem motywów — ruskie wyszywki.

Krótki wstęp Michała Sokolnickiego wprowadza czytelnika w świat „Sonetów". W szczegółowem „calendarium" wędrówek Mickiewicza od chwili aresztowania do powrotu z podróży krymskiej, pomylono datę wyjazdu z Petersburga; zamiast 24 I. 1825 podano 24. XI. 1824. — Po pobieżnem wyliczeniu towarzyszy wycieczki krymskiej następuje dość ogólnikowa charakterystyka „Sonetów". Autor wspomina tylko z imienia Petrarkę z racji Sonetów miłosnych i zestawia mickiewiczowski przekład „Pożegnania" Byrona z oryginałem — choć książka obejmuje tylko „Sonety Krymskie". Nakoniec wymienia wydania i przekłady „Sonetów".

Następuje heljotypja na miedzi młodzieńczego portretu Mickiewicza, przypisywana Lelewelowi, a ryta przez Croutelle'a do wydania paryskiego z 1828 r. Teraz dopiero otwierają się karty Sonetów. Każdy z nich zdobi inicjał, a nadto dziesięć tyleż akwafort Maryli Tyszkiewiczowej „ze wspomnień i szkiców krymskiej wycieczki wydawcy inspirowanych". Obok kilku inicjałów konwencjonalnych, jak step (Stepy Akermańskie), morze (Żegluga), żaglowiec (Burza), skały (Bajdary), łabędzie (Ałuszta w dzień) związanych z tematyką odnośnych sonetów — inne przedstawiają rzeczywiste fragmenty Krymu. Wśród nich uderza — egzotyczny w tym świecie Wschodu — wizerunek chat litewskich, położony nastrojowo na czele sonetu „Pielgrzym". Inicjały przecinają smukłe linje pierwszych liter sonetów, ręcznie iluminowane. Każde 25 egzemplarzy nakładu barwiono innym kolorem. Serja, z której pochodzi nasz egzemplarz, znaczona jest ciemną zielenią — identyczną z barwą wycisku „Al Krim" na oprawie i barwionym górnym brzegiem stron, których boki pozostawiono w stanie naturalnym przepysznie czerpanego papieru. Ta głęboka zieleń zdaje się dobrze harmonizować z światem „Sonetów": Wschodem — krajem zielonego sztandaru Proroka...

Akwaforty obejmują widoki Stepów Akermańskich, Rafy Hurzufu — Fontannę Łez, Grób Potockiej i Grobowiec Chana Krym - Gireja w Bakczysaraju — widoki Ajudahu, Ałuszty, Czatyrdahu — Ruiny zamku w Bałakławie i Drogę nad przepaścią Czufut - Kale. Sąd o nich należy do grafika. Zresztą każda strona tekstu spełnia tu słowa typografów: jest dziełem sztuki „czyelowanem jako ryt kunsztowny".

Mapa Krymu wytrawiona przez S. Tyszkiewicza podaje miejscowości z „Sonetów". Podobiznę karty tytułowej pierwszego wydania „Sonetów" (Moskwa 1826) podano na specjalnie dobranym papierze „Nettunia" z Fabriano. Objaśnienia zawierają złączone razem komentarze Mickiewicza i własne uwagi wydawcy, rozróżnione typem druku (kursywa — antykwa). Szczupła bibljografja obejmuje zaledwie parę tytułów: bibljografji mickiewiczowskich, głównych wydań „Sonetów", ich opracowań (kilka rozpraw szczegółowych — ani jednej monografji!) i prac podróżników polskich o Krymie. Ostatnią kartę zajmuje t. zw. justyfikacja z bibljofilskiemi szczegółami wydawniczemi.

Magnackie wyposażenie dzieła przy względnej szczupłości opracowania wskazuje, iż wartość edycji leży nie w aparacie książki lecz w jej przepysznej szacie zewnętrznej. Słusznie zauważył w jej recenzji prof. Pollak, iż utwór Mickiewicza został tu „wydany tak, jak nigdy dotąd i nigdzie nie wyszedł" (Przegląd Współczesny T. 39 — 1931).

„Sonety Krymskie" zajmują w twórczości Mickiewicza stanowisko wyjątkowe. Kondensacja słowa, bogactwo obrazów, głębia przeżyć — złożyły się w kształt doskonały. Zamyka je wiersz, zaiste — wróżebny:

„...i nieśmiertelne pieśni za sobą uroni,
z których wieki wiekiupłotą ozdobę twych skroni..."

Arcydziełu poezji trud edytorski M. i S. Tyszkiewiczów przydał widzialnego piękna. Z kart tej księgi, tłoczonej pieczołowicie w dalekiem mieście Dantego, zdaje się bić tamten zew:

„...Onorate l' altissimo poeta!"

Józef Mayer.

Zagadnienie historji muzyki narodowej

Nie zwracano dotychczas głębszej uwagi na zagadnienie wyrażone w tytule tego art. Zarówno systematycy muzykologji, jak i teoretycy historji muzyki, a wreszcie i praktycy, t. j. autorowie różnych „historyj muzyki" ustosunkowywali się doń zawsze albo negatywnie albo obojętnie, to znaczy traktowali to zagadnienie, poza nielicznemi nowemi, zresztą niewyczerpującemi i fragmentarycznemi próbami, tak, jakby przedstawienie historji muzyki jakiegoś narodu było tylko wycinkiem ogólnej historji muzyki. Dopiero przed kilkunastu latami muzykolog niemiecki, Gustaw Becking, podkreślił wagę tego zagadnienia, obecnie zaś samodzielnie a w polskiej literaturze muzykologicznej poraz pierwszy ujął ten problemat w jasno skrystalizowany sposób dr. Juljan **Pulikowski**, docent muzykologji Uniw. J. P., w pospolne p. t. **Zagadnienie historji muzyki narodowej** („Życie sztuki" r. II i odb., Warszawa 1935).

Autor stanął również na tem stanowisku, że historja muzyki narodowej nie może być tylko wycinkiem z ogólnej historji muzyki i że ten samem przedmiot badań historji muzyki narodowej stanowi sam dla siebie całość, posiadającą własne problemy a więc i własne metody badawcze. Takie postawienie sprawy wymaga oczywiście jasnego zrozumienia właściwych nowemu zagadnieniu problemów, aby tem łatwiej potem praktycznie je rozwiązać. W przedstawieniu historji muzyki narodowej należałoby przedewszystkiem podkreślić to, co pozostało w ciągu stuleci wspólnem, co tkwiło w niezmiennem podłożu dyspozycyj psychicznych narodu, co — krótko mówiąc — tworzy **styl narodowy.** Styl zaś ten przejawia się zawsze w stylach epok, tylko w rozmaitych, zależnych od nich, zabarwieniach. Poznanie zatem **stałych cech narodowych** jest właściwym celem narodowej historji muzyki. Nie wystarcza jednak takie przedstawienie narodowej historji muzyki, które będzie śledzić tylko, w ścisłym związku z międzynarodową historją muzyki, jak element narodowy pozostaje niezmieniony i, jako stały czynnik historji, zachowuje swą odrębność mimo wszystkich wpływów zewnętrznych, gdyż taka historja muzyki łatwo może stać się międzynarodową historją, w której element narodowy jest tylko zabarwieniem (np. barok w zabarwieniu francuskiem, niemieckiem lub włoskiem). Nie wystarczy też wykazanie przetworzenia wpływów obcych w jakimś narodzie na jego własny sposób. **Zasadniczą** kwestją w historji muzyki narodowej jest „uchwycenie jedności organicznej muzyki narodu w jej dziejowym przebiegu". Pod względem metodycznym rozwój historji muzyki narodowej będzie musiał nastąpić w dwuch kierunkach: „zebrania i opracowania wszelkich zewnętrznych okoliczności rozwoju muzyki danego narodu i syntetycznego ujęcia ze stanowiska historji ducha przedewszystkiem analizy muzycznej i wczuwania się w muzykę, psychologji narodów i psychologji muzyki, estetyki muzyki oraz ogólnej i specjalnej historji kultury i historji ducha".

Jan Józef Dunicz.

O literaturze i o polityce

Książka Marjana Piechala „Anioł i Jakób" już w rok po ukazaniu się w druku nabrała dziwnych aspektów. O jednym z nich chciałbym wspomnieć na wstępie niniejszej recenzji — gdyż narzuca się on pióru w sposób nieodparty.

„Trzy djalogi o Adamie Skwarczyńskim" — tak autor w podtytule swej pracy określa jej kierunkową, jakby dedykując ją w ten sposób i robiąc „ideowy rachunek sumienia" wobec cieni człowieka, z „którym walczyć było najwyższą przyjemnością".

Marjan Piechal, który w licznych wypowiedziach bezpośrednich i pisanych nazywał siebie „komunardem i synem komunarda" dedykuje swą książkę głównemu ideologowi Piłsudczyków, wyznawcy imperjalizmu kulturalnego narodu polskiego, człowiekowi, dla którego legenda Legjonów miała w sobie ciągle siłę dynamiczną — mitu. Jakób, robociarz wsłuchany w muzykę fabrycznych warstatów, nietylko że nie uważa za bezcelową dyskusję z Aniołem, lecz dyskutując, oddaje hold należny **uczciwemu wobec własnych myśli** człowiekowi.

Ten akt uznania i hołdu byłby czemś zwyczajnem, gdyby nie to, że jest on **u nas** czemś bardzo niezwyczajnem. Już wtedy, gdy książka Piechala ukazała się w druku było dla mnie oczywiste, że partyjne perjodyki niepartyjnych zrzeszeń literackich nie powitają jej entuzjastycznie. Nasze obyczaje w sprawach publicznych są tego rodzaju, że sama chęć dyskusji z przeciwnikiem ideowym piętnowana jest jako zdrada ideałów, odstępstwo i t. d. A powiedzieć, że przeciwnik jest człowiekiem uczciwym, że najszczerzej wierzy w to co mówi i pisze, — że jest człowiekiem godnym szacunku — to już jest więcej niż horrendum.

Nie jest to jednak to najgorsze, co się może przydarzyć ludziom biorącym udział w życiu publicznem. Uwagi, które pod adresem Piechala (spowodu książki „Anioł i Jakób") zdarzyło mi się słyszeć i czytać, nie przygnębiają jeszcze tak bardzo, jak kalumnje przeciwników politycznych pod adresem Adama Skwarczyńskiego. I to właśnie teraz, w ostatnich miesiącach i tygodniach. Dlaczego? Dlaczego teraz dopiero i dlaczego kalumnje?

Mam przyjaciela, literata, któremu wypadnie własny żołądek wraz z duszą zawiesić niedługo na kołku, jeżeli okaże się, że rzeczywiście został wydany zakaz tłumaczenia powieści sowieckich na język polski. Polityka. Trzeba, przy wyborze zawodu, tak odległego od polityki, jak krytyka literacka, zorjentować się wpierw w horoskopach politycznych lat bliskich i dalekich. Trzeba, aby wytłumaczyć sobie ten stek obrzydliwych napaści na nieskazitelnego człowieka, zorjentować się w aktualnej grze koteryj politycznych.

Ludzie, którzy w swych dziennikach i czasopismach na pierwszej stronie drukowali sążniste artykuły o „mocarstwowej linji polityki płk. Sławka", którzy podobizny premjera Jędrzejewicza opatrywali entuzjastycznemi podpisami, teraz szkalują wszystko, co ma związek z temi nazwiskami — nie oszczędzając nawet pamięci tak nieskazitelnego człowieka, jak Adam Skwarczyński. On bowiem inspirował wiele inicjatywy na polu społecznem i kulturalnem, on miał odwagę eksperymentowania na najdrażliwszym terenie naszego życia — na polu spraw młodzieży. Człowiek ten jest już **prawie** bezbronny. Nie może sam, dalszą swoją działalnością, zatkać usta paszkwilantom. Człowiek ten jest już nieobecny. Przykro jest powiedzieć to o pisarzu — ale w tym wypadku tak jest istotnie: Skwarczyński umarł mimo pism swoich, gdyż jego koncepcje myślowe jedynie wtedy mogły kształtować życie z całą skutecznością, gdy stał za niemi człowiek o takim ładunku szczerego entuzjazmu, jak właśnie Skwarczyński.

Zostawmy jednak tę sprawę. Trudno jest dzisiaj wyrokować o tem, co z czyichś myśli w życiu się ostanie. I nie o to nam chodzi.

Chodzi o elementarną moralność w życiu publicznem; chodzi mi o to, że czułem się zmuszony do wystąpienia z okazji niniejszej recenzji w roli, do której najmniej się nadaję — w roli moralisty. Fakty znane mi były z gazet — wnioski narzuciły się same.

Toby był ten właśnie przykry aspekt, o którym niesłusznie wspomniałem na początku, że jest aspektem książki Piechala, — i który najniesłuszniej właśnie teraz podnoszę do godności jakiegoś „aspektu". Jest to poprostu smrodek. Rodzimy i znajomy...

Djalogi o Adamie Skwarczyńskim nie wyrosły jedynie z chęci skrzyżowania szpad, z polemicznej pasji autora. Źródłem ich powstania — mówię to po bardzo długiem zastanowieniu — musiała być jakaś więź silna, która „Jakóba" z „Aniołem" łączyła.

Myślowo, doktrynalnie, dyskutanci reprezentują dwa różne światy. Jeden z nich chce wierzyć, i wierzy, że legenda jego grupy, grupy niepodległościowców, jest ciągle jeszcze mitem życiotwórczym, że zdolna jest natchnąć cały naród do wielkich wysiłków, do realizacji „istotnie polskiej rewolucji socjalnej". Drugi zaś nie ma złudzeń co do tego, że interes „całego" narodu i interes państwowości polskiej leży na linji, po której pójdzie realizacja interesu klasy robotniczej. „...właśnie w interesie najistotniejszym narodu i państwa zdecydowało się paruset ludzi na śmierć żywcem pod ziemią w Klimontowie, broniąc kopalni przed zalewem. Walcząc o kawałek chleba i swą klasową egzystencję, walczyli ci z Dzikowa i ci z Klimontowa o najistotniejsze wartości duchowe i materjalne narodu i państwa". Anioł walczy z egoizmem klasowym w imię dobra całego narodu; Jakób zaś, przyziemny i wymowę prawd ziemskich rozumiejący, walczy o zaspokojenie egoizmu klasowego — również w imię dobra całego narodu i państwa. Jakób wierzy w posłannictwo swojej klasy, w jej mit, który ostatecznie zwycięży musi. Obaj więc — zdawałoby się — zdążają do tego samego celu, drogi jednak, któremi doń zmierzają, są różne.

Powiedziałem wyżej, że **myślowo** obaj dyskutanci reprezentują inne światy. Określenie to nie wydaje się całkiem słuszne. Bo chociaż w dyskusji posługują się najczęściej argumentami logicznemi, operują kategorjami intelektualnemi, to jednak przez cały czas lektury nie można oprzeć się wrażeniu, że te wszystkie argumenty, które dyskutanci wysuwają, że cały ten aparat myślowy, uruchamiany przez nich — to tylko klocki, któremi się obrzucają, poruszeni obaj silną, namiętną **wiarą**. Obaj wierzą. Wierzą naprzekór faktom i doświadczeniom. **Obaj** naprzekór faktom. Wierzą i nie chcą ze swej wiary zrezygnować. Te argumenty, rozumowania, przykłady i cytaty, których tyle dla poparcia swej wiary gromadzą, to są tylko **instrumenty** porozumienia się — lub raczej — nie porozumienia. Wierzą. To przedewszystkiem. W obu troska o przyszłość (i teraźniejszość) wielkich sił narodu jest czemś bardzo bliskiem sercu.

I ta wiara gorąca, ta wysoka temperatura odczuwania spraw społecznych jest właśnie więzią, łączącą tych antagonistów. Ta wiara właśnie i żywa troska o swe ideały podnosi Anioła do rzędu przeciwnika, godnego dyskusji — i ta wiara upoważnia Jakóba do wszczynania jej. Anioł i Jakób to ludzie bliscy sobie sercem a dalecy myślami.

Nie warto może było tak dużo pisać o tem, gdyby nie fakt, że prawda o wyższości więzi serdecznych nad intelektualnemi ma w naszem życiu społecznem bardzo ważne konsekwencje. Ona właśnie sprawia, że wielu spośród nas, spośród ludzi, którzy zdobyli świadomość dziejącej się historji wraz z świadomością faktu iż dzieje się ona bez nas — że wielu tych ludzi czuje się najzupełniej obco w **środowisku o tej samej wiedzy społecznej**; ona właśnie sprawia, że prawda o wyższości więzów serdecznych nad intelektualnemi, że niejeden Jakób czuje się lepiej w ostrem starciu z Aniołem, aniżeli w zgodnym chórze fałszywego entuzjazmu innych Jakóbów.

Ostatnie wypadki na terenie kraju aktualizują bardzo książkę Piechala. Wątpię czy autor włożyłby dziś jeszcze w usta Anioła te słowa, — które ciekawi czytelnicy znajdą na stronie 50-tej omawianej książki.

Andrzej Kruczkowski.

Dnia 10 b. m. upłynął ostateczny termin nadsyłania wierszy na konkurs poetycki. Z powodu dużego napływu prac konkursowych rozstrzygnięcie konkursu nastąpi w drugiej połowie maja a wyniki i lista nagrodzonych podana będzie w następnym numerze „Nowych Czasów" z dnia 1-go czerwca b. r.

gospodarstwo

W związku z ograniczeniami dewizowemi

Ograniczenie dewizowe, aczkolwiek komplikujące życie na wielu odcinkach, okazało się koniecznem zarządzeniem ze względu na złą wolę, lub lekkomyślność niektórych warstw, które przyczyniały się do wypompowywania naszych środków obrotowych i tak skąpych, poza granice Państwa. Okazało się, że nie starczy doprowadzić do trwałego stanu aktywności bilansu handlowego, że nie jest dość zrównoważyć budżet wpływów i wydatków publicznych. Istniała jeszcze jedna luka, która wskutek niedowierzania we własne siły, albo co gorzej przez świadome szkodnictwo, przyczyniała się do uszczuplania naszych zapasów pieniężnych, w celu podważenia naszej waluty, będącej solą w oku wrogich nam elementów.

Niestety w tej dziedzinie istnieje stan powszechnego nieuświadomienia, zresztą związany z chaosem pojęć, obserwowanym powszechnie i gdzieindziej. Wartość stałego pieniądza nie może dotąd przesiąknąć trwale do poczucia ogółu społeczeństwa, które ciągle jest zdezorjentowane czy to przez mętnych ekonomistów, którzy w powodzi słów nietylko topią własną orjentację, lecz jeszcze, co gorzej, zaciemniają zdrowy pogląd społeczeństwa na tę najważniejszą naszą sprawę, będącą podstawą obrotu i gospodarstwa publicznego. Szeroka opinja ogółu nie może lub nie chce sobie uświadomić, że z chwilą załamania się pieniądza, musi pogłębić się zamęt stosunków w wymianie dóbr, które i tak są dostatecznym przyczynkiem do panującego wszędzie kryzysu. Temby gorzej sprawa się przedstawiała, jeżelibyśmy jeszcze naruszonej raz równowagi walutowej opanować nie potrafili.

Tymczasem strata, któraby dotknęła bardzo szerokie kręgi naszego społeczeństwa, winnaby być dla wielu dość zrozumiałą i widoczną. W pierwszym rzędzie i bezspornie naruszenie stałości waluty dotyczyłoby wszystkich warstw pracujących, a otrzymujących wynagrodzenie w określonym stosunku, któryby temsamem został naruszony ujemnie. Tych zaś jest w Państwie ilościowo najwięcej. Pozatem musiałby ulec ujemnemu wpływowi cały zdrowy obrót handlowy, przemysłowy i rzemieślniczy. Mogłyby natomiast zyskać: karygodna spekulacja, oraz dłużnicy, skłonni zresztą do uwalniania się z zobowiązań, powstałych często w bardzo rozmaity sposób i będących przeważnie skutkiem złej kalkulacji, niedołęstwa i lekkomyślności.

Sedno zaś sprawy tkwi w tem, że będąc w położeniu bardzo trudnem i skomplikowanem, niezaopatrzeni dotąd w dostateczny kapitał autorytetu państwowego, niesłychanie wiele moglibyśmy stracić puszczając wodze porządkujących się naszych stosunków gospodarczych na fale fluktów niepewnych, zdolnych doprowadzić nas do bankructwa moralnego i materjalnego.

Tymczasem niestety bardzo eksponowani ludzie w naszych stosunkach, pozwalają sobie w tym względzie nietylko na nieopatrzne puszczanie różnych bezwartościowych wersyj, lecz co gorzej, służą często za narzędzie szerzenia szkodliwych plotek, przeznaczonych na świadome podrywanie wewnętrznego zaufania i osłabienia naszego bytu ekonomicznego.

Zarządzenia walutowe okazały się koniecznością, szczególnie wskutek tych właśnie panujących nastrojów.

Społeczeństwo jednak winno w tej sprawie wykazać aktywność i przyjść z pomocą mądrym zarządzeniom. Winno przedewszystkiem w kategoryczny sposób piętnować szkodników, którzy, niczem przekupki na targu, podrywają zaufanie do siły finansowej własnego Państwa — szerząc alarmujące wiadomości, dotyczące możliwości spadku naszej waluty.

Tomasz Zan.

Niebezpieczne pomysły

Ktoby zyskał dziś na dewaluacji?

W związku z wydanemi przepisami, ograniczającemi obrót dewizami, pojawiły się pogłoski, jakoby ograniczenia te były krokiem wstępnym do przeprowadzenia dewaluacji naszej waluty.

Jakkolwiek trudno nawet przypuścić, by taki projekt mógł być choćby tylko rozważany przez miarodajne czynniki, to jednak nie zaszkodzi, gdy się takie pomysły przedstawi we właściwem świetle. Dla zorjentowania się należy rozważyć, jakie skutki w gospodarstwie narodowem pociągnęłaby za sobą dewaluacja wogóle, a następnie, ktoby na tem zyskał a kto stracił.

Następstwem obniżenia wartości pieniądza byłaby niewątpliwie **zwyżka cen** i to przedewszystkiem cen **wyrobów przemysłowych**, które mogą być z łatwością regulowane, dzięki oficjalnym i nieoficjalnym kartelom. Następnie poszłyby w górę ceny **produktów rolnych**, w tempie znacznie powolniejszem, z uwagi na brak organizacji handlowej w tej dziedzinie produkcji. Przez czas więc dłuższy w okresie nierównomiernego wahania się cen w górę bylibyśmy świadkami dalszego rozwierania się t. zw. „nożyc". W rezultacie zatem zaobserwowalibyśmy dalsze kurczenie się konsumpcji wyrobów przemysłowych, wraz ze wszystkimi pochodnemi objawami, pogłębiającemi panujący kryzys gospodarczy.

Korzyści odnieśliby wszyscy ci „obywatele", dla których przedewszystkiem powinny stać naoścież otworem bramy Berezy Kartuskiej, a więc spekulanci, którzy skrzętnie zakupywali złoto i obce waluty, przechowując je w kraju lub w zagranicznych bankach. Ci więc wszyscy „obywatele", którzy w najcięższych chwilach dla Państwa zarobione na społeczeństwie pieniądze wycofywali z obiegu, ogałacając majątek narodowy ze złota i pogłębiali przez to kryzys, przyczyniając się do krwi przelewu na ulicach szeregu miast, nietylko nie straciliby ani grosza, lecz przeciwnie: otrzymaliby premję efektywną przy zmianie złota na zdewaluowaną walutę.

Straty natomiast ponieśliby wszyscy ci drobni ciułacze, którzy z całem zaufaniem do Państwa lokowali swoje oszczędności w polskiej walucie w instytucjach krajowych. Za zrealizowane bowiem wkłady po dewaluacji otrzymaliby pieniądze o zmniejszonej sile kupna.

Straciłyby także nasze instytucje kredytowe, zwłaszcza państwowe, które jak Bank Gospodarstwa Krajowego dla uruchomienia kredytów budowlanych, zaciągnęły w swoim czasie zobowiązania zagranicą w obcej walucie.

Ponieśliby wreszcie straty wszyscy pracownicy o stałych poborach, jak: urzędnicy państwowi, samorządowi, prywatni i wogóle cały **świat pracy**, który — w następstwie — musiałby rozpocząć walkę o podwyżkę płac, wskutek rosnącej drożyzny. W ślad zatem, bylibyśmy świadkami fali strejków, zaburzeń i t. d. Oto wizja przyszłości niezbyt zachęcająca!

Jest więc rzeczą oczywistą, że projekty dewaluacji, **przy nastawieniu całej naszej gospodarki na deflację** wysuwać mogą dzisiaj tylko ci, którzyby na tem efektywnie grubo zyskali, a więc — jak to wyżej zaznaczono — cała sfora spekulantów, żerujących na ciężkiem położeniu ludności. Ponieważ zaś wpływy tej warstwy szkodników społecznych, strojących się w piórka reprezentantów t. zw. „sfer gospodarczych", wyrządziły już Państwu niejedną szkodę, przeto godzi się zwrócić uwagę na ich zakulisowe machinacje. Ponadto, ażeby na przyszłość odstraszyć ich od podobnych poczynań i wysuwania tego rodzaju projektów, należałoby rozporządzenie o obrocie dewizami uzupełnić przez wydanie **zakazu posiadania złota i obcych walut**, pod groźbą **konfiskaty i wysokich kar więzienia w razie nieoddania ich Bankowi Polskiemu** w zakreślonym terminie. Równocześnie zaś należałoby „zachęcić" spekulantów do gorliwego zastosowania się do tych przepisów, przez ustanowienie **premji za wykrycie nieprawnie posiadanych walorów**, w wysokości 50% ich wartości.

Józef Stobiecki.

ZMIANA ADRESU REDAKCJI
„NOWYCH CZASÓW".
Z DNIEM 1 MAJA REDAKCJA
„NOWYCH CZASÓW"
MIEŚCI SIĘ PRZY
UL. RUTOWSKIEGO 8. II. p.
◆
GODZINY URZĘDOWE
WE WTORKI I CZWARTKI
MIĘDZY GODZ. 19 — 20-TĄ.

Wstęp do teorji słuchowiska

Będzie tu mowa o słuchowisku, jako o pewnej formie przyszłości, narazie nieistniejącej realnie ani w programach radja, ani w możliwościach praktyki radjowej, zaledwie przeczuwanej, dającej się zgrubsza określić teoretycznie i tkwiącej potencjalnie w możliwościach radja. Stąd charakter tych uwag raczej postulatowy i dlatego, pragnąc poznać istotę słuchowiska, jako **swoistego** przedmiotu estetycznego w jego odrębnej strukturze, wygodnie będzie założyć tu pewną formę idealną słuchowiska, jakieś idealne, „czyste" radjo.

Takie też czyste, idealne słuchowisko radjowe będzie przedmiotem naszych dzisiejszych rozważań teoretyczno - poznawczych.

Pomijając zagadnienie warunków estetycznego istnienia słuchowiska, jego identyczności i niezależnie od apercepcji słuchowiska tu zajmiemy się niem raczej od strony technicznej, określimy **jego materjał, granice jego możliwości, powinowactwa estetyczne i środki wyrazowe.**

Spróbujmy omówić pokrewieństwa radja, przedewszystkiem z teatrem i uchwycić je mniejwięcej w tym momencie, kiedy wyłania się i krystalizuje z teatru.

Otóż początkiem słuchowiska radjowego był niewątpliwie teatr. A więc scena dramatu teatralnego, przeniesiona do studja albo przedstawienie, dramat czy opera, transmitowana przez radjo. W ten sposób pewne rzeczy odpadły w transmisji całkowicie, inne dochowały się w sposób mniej lub więcej pełny i dokładny i te zaczęły się w radjo przyjmować. Było to przedewszystkiem słowo, przedewszystkiem djalog, który zajął coraz więcej miejsca w słuchowisku, kierując na siebie — najfałszywiej — uwagę teoretyków radja, jako na element podstawowy i prowadząc do koncepcji nowego teatru czy dramatu radjowego. W następnej fazie rozwojowej — cytuję za Hulewiczem — zaczęto utwory sceniczne i krótsze fragmenty epickie, przykrawywać, sklejać i adaptować do potrzeb mikrofonu. To była faza radjofonizacyj. I wreszcie ostatnia faza, mniej więcej obecna, kiedy od wewnątrz zaczęto tworzyć utwory literackie, pisane specjalnie dla radja, w przekonaniu, że one oparte na specjalnie dla radja pisanym scenarjuszu, jakkolwiek przecież stuprocentowo literackim i jakże od radja dalekim, zapoczątkują erę prawdziwego słuchowiska. Ta koncepcja, oparta na powierzchownych obserwacjach analogji między radjem a teatrem, na uprzywilejowaniu djalogu, dzieląca naiwnie słuchowisko, na jakieś plany: pierwsze i drugie, na djalog i tło akustyczne, na akcję i kulisy dźwiękowe, wyprowadziły słuchowisko jeszcze głębiej w las pomyłek i nieporozumień.

Cóż wspólnego łączy teatr ze słuchowiskiem? Uchwycono i zaobserwowano dość powierzchownie te analogje, te cechy wspólne, które w radjo są **także**, są **między innemi** dostępne, ale które przecież nie mogą być brane jako zasadnicze i definjujące nową, odrębną formę artystyczną słuchowiska. Nie biorąc pod uwagę cech **swoistych i wyłącznych**, zaczęto do radja przenosić terminy i pojęcia z obcych mu dziedzin, teatru i literatury, szukać dla nich treści w zakresie radja i na tych podstawach zaczęto budować fałszywą estetykę słuchowiska, która doprowadziła do koncepcji teatru radjowego bez elementu wizualnego, teatru dla niewidomych. W ten sposób zaprzepaszczono możliwość wyklucia się zupełnie nowej i autonomicznej formy wyrazu, która ma swój odrębny materjał, odrębne możliwości i ambicje, specyficzne braki i bogactwa, rządzi się własnemi prawami.

Słuchowisko jest **bezbarwne, nieplastyczne, niewidzialne, nienaoczne.** W tych negatywnych określeniach słuchowiska mieści bodaj jego najbardziej istotna immanentna właściwość, jego odrębność, jego specyficzne bogactwo.

Gdy w teatrze, czy nawet na ekranie, mimo że dysponującym tylko dwoma wymiarami, świat dany jest w wrażeniach wzrokowych i słuchowych, a pośrednio także dostarczać może także wrażeń węchowych, smakowych, temperatury i i., to w słuchowisku **świat dany jest tylko w dźwiękach.** Radjo tylko słyszy świat, chwyta jego dźwiękową powierzchnię. Narzuca się tu ciągle pouczające porównanie z niektóremi **technikami graficznemi,** w których materjał również w despotyczny sposób narzuca sposób artystycznego ujmowania rzeczywistości, ogranicza swobodę, zwęża możliwości i wytwarza specyficzny stosunek do rzeczywistości.

Specyficzny i charakterystyczny dla radja będzie więc nowy stosunek do rzeczywistości; jakby dobranie się do niej od strony dotąd nieznanej, zaszytej, człowiekowi niedostępnej. Tak zdobędziemy nowy stosunek do każdej rzeczy, uchwycimy nowe relacje między rzeczami i o ten nowy sit venia verbo muzyczny stosunek do rzeczywistości, o dźwiękowe oblicze świata i jego nowe nieoczekiwane nazwy toczyć powinna walka w studjo radjowem. Jak film, tak i sztuka radjowa może nam wszystko pokazać na nowo i z innej strony, wyjawić nowy stosunek i nieoczekiwany sens każdej rzeczy, słowa, wrzawy, klamki, dźwięku katarynki, ciszy itd.

Cóż będzie materjałem słuchowiska radjowego? Słowa **„materjał"** używam tu w podwójnem znaczeniu: w tym sensie, w jakim w malarstwie mówi się o barwie i o farbie. Otóż w tem pierwszem znaczeniu, materjałem słuchowiska będzie: słyszalność. **Słuchowisko jest tedy sztuką słyszalności.** Materjałem w węższem ściślejszem słowa znaczeniu, odpowiadającem w malarstwie pojęciu farby, będą odpowiednio dobierane i konstruowane zespoły foniczne, jak słowa, dźwięk instrumentów, szmery i t. d. Bliższego omówienia wymaga oczywiście słowo, które w słuchowisku działa przedewszystkiem, jako dźwięk i jako takie może być używane jako samoistny środek wyrazowy. Właśnie w słuchowisku słowa typu „słopiewniowego" i „mirohładowego" — wydają się specjalnie uprzywilejowane. Po drugie słowo działa w słuchowisku, jako zespół znaczeń podobnie jak w teatrze lub w filmie mówionym.

Zanim dojdziemy do kompozycji tych zespołów fonicznych w całość słuchowiska, trzeba będzie wypracować, wypróbować, wyeksperymentować najprostsze formy wyrazowe, stworzyć abecadło radjowe, przekonać się, co jest w radjo wyrażalne, a co nie, co się da przez mikrofon wyrazić a co nie.

Te eksperymenty natury czysto radjowej, estetycznej opierać się muszą o studja z zakresu psychologji i fenomenologji spostrzegania. Chodzi o to, jak dobierać poszczególne zespoły foniczne, ażeby kojarzyły się nam nieodwołalnie z zamierzonym obrazem, w jakim stopniu winna być słuchaczowi pozostawiona dowolność associacji, a w jakim stopniu aktywność jego wyobraźni ma być ograniczona.

Tu jeszcze wyłania się zagadnienie, czy wogóle w słuchowisku powinniśmy widzieć akcję, czy przeżywać ją tylko jako słyszalność. I to jeszcze: Czy tak komponować elementy dźwiękowe, ażeby zostawić swobodę biegowi wyrażeń pochodnych, nie danych bezpośrednio zmysłowi słuchu, jak wrażenia wzrokowe, smakowe i i.

Następna kwestja, to temat w słuchowisku. W tej chwili zagadnienie dla nas drugorzędne. Rzeczą bowiem podstawową jest wspomniany przed chwilą swoiście radjowy stosunek do rzeczywistości, któryby potrafił wydobyć dźwiękowy, muzyczny sens rzeczy i który powinien następnie wykroić i poddać tematy. Jedno jest pewne: jeżeli w teatrze, a w mniejszym już stopniu w filmie, osią jest człowiek i jego sprawy, to słuchowisko nie może być jedynie antropocentryczne, ale tematem może być równie dobrze głos ludzki, jak szmer ściekającej wody, głos słowika czy katarynki, cały bogaty świat rzeczy słyszalnych.

Okres obecny jest w Polskiem Radjo gorliwem poszukiwaniem literatury radjowej, werbowaniem literatów do radja, zdobywaniem ich dla twórczości mikrofonowej. Zdaje się, że jest to okres impassu, że ta inwazja literatury napewno nie posunie naprzód słuchowiska, że odnowienie, a właściwie stworzenie tej formy będzie dziełem nie literata, ani inscenizatora teatralnego, ale człowieka radja, jakiegoś radjowego Renee Claira, który będzie umiał obejść się bez tekstu literackiego, będzie umiał wypowiadać się, wyrażać wprost, bezpośrednio i do ostatka — w materjale radjowym. Oczywiście, że atmosferą, w której takie słuchowisko powstać może nie jest pracownia pisarza, ale tylko i wyłącznie studjo radjowe, mikrofon, amplifikatornia, adapter. Ta wiedza o słuchowisku, **to obudzenie się świadomości artystycznej reżysera, czy miksera radjowego, nastąpić może tylko w radjowem studjo eksperymentalnem,** gdzie unikając łatwizny będzie można zuchwale na wszystkie sposoby eksperymentować, kontrolować osiągnięte rezultaty, doskonalić technikę, poznawać materjał. **Oto polę przyszłej awangardy radjowej, która dziś oczywiście stanowiłaby tylko peryferje pracy radjowej, ale która ostatecznie rozstrzygnąć może o przyszłości artystycznego słuchowiska radjowego.**

Wilhelm Korabiowski.

kultura fizyczna

Znaczenie sportu kajakowego dla wychowania fizycznego i turystyki

Jako jeden z najmłodszych sportów w Polsce rozwija się obecnie kajakarstwo z żywiołową wprost siłą i rozmachem. Z roku na rok rośnie tak ilość kajakowców jak i liczba kajaków, przystani i stanic. Obecnie nietylko już poszczególni członkowie wpisują się do P. Z. K., ale też najrozmaitsze stowarzyszenia społeczne i sportowe tworzą u siebie Sekcje i gremjalnie wpisują się na członków P. Z. K. Do stowarzyszeń tych należą: „Sokół", Z. H. P., „Strzelec", K. P. W., P. P. W, oraz wszystkie kluby sportowe.

Sport ten o charakterze wybitnie przestrzennym, potrafi porwać i zająć uprawiających go tem, że rozporządza olbrzymią skalą możliwości turystyczno-sportowych, jest zawsze interesującym i zawiera w sobie wszystkie wymogi poszukiwane w sporcie w całem tego słowa znaczeniu.

Jeśli się go traktuje z punktu widzenia turystyki to czyż można przyjemniej i pożyteczniej dla zdrowia spędzić wolne chwile, urlop czy też wakacje — jeśli nie na wycieczce lub wyprawie kajakowej, wśród słońca, przeczystego powietrza, wody i ruchu, w lekkich strojach, kołysząc się na falach lub płynąć na wartkim prądzie naszych naprawdę pięknych szlaków wodnych.

Jeśli się go zaś traktuje zawodniczo to czy nie można w nim znaleźć ujustu dla młodych sił na tle szlachetnej rywalizacji, gdy się zważy, że nie tylko długość trasy musi pokonać zawodnik, ale też wiele barbdzo ciężkich i niebezpiecznych momentów np. na rzekach górskich, po których też często biegną trasy zawodów. Tu się dopiero wyrabia siłę mięśni, błyskawiczną reakcję, szybką orjentację i spostrzegawczość. Sport kajakowy w swych wielu przejawach to współzawodnictwo z naturą, na tle tych wzmagań hartuje się i umacnia tak dusza jak i ciało kajakowca, przygotowując go do walki z najtwardszym żywiołem jakim jest życie.

Dla turystyki ma ono olbrzymie znaczenie dlatego, że kajakowiec przez cały czas swej wycieczki styka się bezpośrednio z terenem, ludnością i zabytkami naszego kraju. Polski Związek Kajakowy pragnąc skierować turystykę kajakową na właściwe tory, propaguje i zachęca intensywnie do zdobywania odznaki turystycznej. Ubiegający się o tę odznakę musi nieco inaczej traktować wycieczkę kajakową, zamiast pożerania kilometrów lub bezczynnego wylegiwania się na kajaku, musi zwracać uwagę na szlak wodny, którym płynie, jego osobliwość i zmiany, oraz obserwować krajobraz. Po sezonie musi wszystkie wycieczki opisać, dołączyć dowody i ewentualne zdjęcia i przesłać do P. Z. K. Po weryfikacji opisów komisja turystyczna przyznaje odznakę za sezon sprawozdawczy.

Łeczeństwa, organizuje corocznie na całym terenie Państwa najrozmaitsze imprezy zawodnicze, spływy, obozy wędrowne i kursy na które przysługują uczestnikom daleko idące zniżki kolejowe, grupowe i indywidualne oraz wszelkie ułatwienia transportowe kwaterunkowe.

We Lwowie mimo braku wody rozwija się sport kajakowy coraz silniej z roku na rok. Naturalną przeszkodę, hamującą należyty rozwój tego sportu, pokonują lwowscy kajakowcy najrozmaitszemi sposobami. Wszystko zależy od tego, czy kajakowiec rozporządza kajakiem gumowym składanym czy też sztywnym z drzewa. Dla składakowca otwiera się bardzo wiele pięknych możliwości na naszym terenie. W odległości bowiem 1—3 godzin jazdy koleją od Lwowa znajdują się doskonałe tereny kajakowe, jak staw gródecki, janowski i mszański, gdzie można się nauczyć kajakarstwa, następnie rzeki nizinne: Bug, Dniestr, San i Wereszyca dla wprawniejszych, oraz rzeki górskie Stryj, Świca i Łomnica przez wprawnych kajakowców najbardziej ulubione.

Posiadacze kajaków sztywnych są więcej ograniczeni, zmuszeni są albo trzymać kajaki w jednem miejscu, albo odbywać spływy etapami.

St. R.

WYSTAWA OBRAZÓW TYTUSA CZYŻEWSKIEGO

Otwarta niedawno w Związku Plastyków zbiorowa wystawa prac Tytusa Czyżewskiego daje kulturalnej publiczności Lwowa możność zapoznania się poraz pierwszy na tutejszym terenie z tym jednym z najwybitniejszych malarzy współczesnej Polski.

Tytus Czyżewski jest artystą w każdej formie wypowiadania się. Uderza w nim bogactwo artystycznych możliwości; literat, poeta, krytyk a przedewszystkiem w najgłębszym sensie tego słowa malarz. Jest artystą niezmiernie wrażliwym i subtelnym i przy całej swej wyrafinowanej niekiedy kulturze malarskiej ogromnie bezpośrednim, a pozatem artystą żywym i twórczym. Jego pobudliwa i wyczulona wyobraźnia artystyczna szuka wciąż nowych form i możliwości wypowiedzenia się, nie staje na osiągniętym stopniu rozwoju, ale wciąż poszukuje tych właśnie istotnych dla tego okresu, czy dla tej wizji plastycznej, rozwiązań formalnych.

Na obecnej wystawie widzimy obrazy T. Czyżewskiego zasadniczo z dwu okresów. Pierwsza grupa, którą określić by można jako „surrealistyczną" — jakkolwiek pojęcie to nie zamyka w sobie wszystkich cech istotnych tych obrazów i druga grupa, gdzie zagadnienia formalne są rozwiązywane raczej w sensie rzeczywistości realnej. W obu grupach zarówno zresztą, jak w całej swej twórczości jest on w pełnem tego słowa znaczeniu kolorystą.

W ostatnim zwłaszcza okresie zdaje się go pochłaniać przedewszystkiem znakomite niekiedy rozwiązywanie problemów barwy. Forma jakkolwiek interesująca i przemyślana nie jest tu zaakcentowana w tej mierze, jak w niektórych obrazach poprzedniego okresu.

W grupie obrazów, które określam, jako „surrealistyczne", widzimy dwa zwłaszcza niezmiernie ciekawe: „Przygoda Don Kichota" i „Koncert w Hiszpanji". Mamy tu zestawienia elementów realnych i geometrycznych w rytmicznej konstrukcji formy i koloru. Barwy czyste w „Koncercie" silnie kontrastowane, doskonałe wyczucie nastroju, obraz narzuca nam nieomal szarpiącą nerwy dynamikę melodji. Subtelne zestawienia barwne „Don Kichota" i przejrzysta kompozycja formy, dają silne przeżycia artystyczne i nastrojowe.

Liczniejsza druga grupa obrazów, skromnych, ale kunsztownych w kompozycji formy, uderza przedewszystkiem niezmiernem bogactwem rozwiązań problemów kolorystycznych. Studja ludzi i martwych natur, często w zakresie jednej tonacji oparte są przeważnie na małych różnicach. W „Kobiecie w czerwonym berecie" ze Zbiorów Państwowych w Warszawie, widzimy, jak każdy fragment sukni czy draperji gra własnem natężeniem barwnem, podporządkowanem jednak harmonijnie zasadniczej tonacji całości. Kolory rozbielone, subtelne, nie działające jaskrawością kontrastów, mają jednak swoje silne napięcie.

„Martwa natura z bukietem" również ze Zbiorów Państwowych jest kapitalną symfonją brązów i różów o mocnem nasileniu. Wogóle przeważają w tych obrazach zestawienia brązów i zieleni a także czerwień rozwiązywana w różnych zespołach i natężeniach.

Świat otaczający transponuje obcenie Czyżewski w sensie przeżyć realnych a kształt rzeczywisty deformuje w myśl założeń malarskich obrazu. Trudno jest mówić o pewnych właściwościach niedających się choćby w przybliżeniu objektywnie ocenić, a do takich pojęć należy t. zw. sentyment czy liryzm przebijający się w ujęciu malarskiem, mimoto jednak w braku lepszego określenia trzeba się i tutaj posłużyć zbliżonym terminem. Czyżewski jest dla mnie malarzem uczuciowym, czasem lirycznym, jak w „Pani w czerwonym berecie" przeważnie dynamicznym, jak np. w „Cowboyu w szerokim kapeluszu", ale malarstwo jego oparte jest w równej mierze na podkładzie emocjonalnym, jak na głębokiej kulturze intelektualnej.

Sprowadzenie wystawy stojącej na tym poziomie musimy uważać za duży sukces zawodowego Związku Artystów Plastyków, który programowo dąży do wzbogacenia i ożywienia życia kulturalnego i artystycznego Lwowa.

Anna Marja Mars.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA OTWARTA WE WTORKI I CZWARTKI MIĘDZY GODZ. 19—20.

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: LWÓW, RUTOWSKIEGO 8 II. P.
KONTO CZEKOWE P. K. O. „KADRA" NR. 503.914.
PRENUMERATA ROCZNIE 5 ZŁ. KWARTALNIE 1.50 ZŁ. MIESIĘCZ. 0.50 ZŁ.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Roman Romanowicz

Lwowska Drukarnia Nowoczesna — Pasaż Mikolascha. Tel. 216-76.